Miesięcznie 1 zł.
prenumeratę przyjmuje każda poczta

1 egz. 30 groszy.

Moje Powieści

ILUSTROWANY TYGODNIK DLA WSZYSTKICH

Rok IV. Niedziela, dnia 19 lipca 1936 r. Nr. 29.



...A chociaż lekko życie mi płynie,
Chociaż, jak dawniej świeci mi słońce,
Tęsknię za tobą nieraz, dziewczyno,
O jasnej twarzy i ustach gorących...

I chociaż radość dzień każdy niesie
I życie nowe szczęście mi rzuci,
Żal mi, że koniec już naszej pieśni,
Że bledną kwiaty... że już nie wrócisz...

Szumowiny

Powieść sensacyjna na tle stosunków amerykańskich

Nie potrzebuję ukrywać się z tem, że prowadzę duży handel wódką, bo wszyscy o tem wiedzą. Jeżeli zechcesz stać się jednym z moich ludzi i być wiernym moim pomocnikiem, dostaniesz dwie setki tygodniowo, a oprócz tego procenty od towaru, który będziesz eskortował. Jak ci się ta myśl podoba?

Twarz Wheelera promieniała.

— Może pan mną rozporządzać — rzekł w odpowiedzi. — Każdej chwili gotów jestem zrobić wszystko, co mi pan rozkaże.

— Dobrze — odparł Harden. — Spodziewałem się tego. Okazujesz wiele zdrowego rozsądku przyjmując moją propozycję, bo zamiast narażać się na więzienie, może nawet na krzesło elektryczne za udział w zabiciu policjanta, będziesz miał duże dochody i znajdziesz się pod moją opieką, czego niejeden życzyłby sobie z całego serca.

Przeszedł się po pokoju i mówił dalej:

— Jeszcze jedno. Czy umiesz obchodzić się dobrze z bronią. To rzecz ważna tak dla ciebie, jak i dla mnie. Mam nieprzyjaciół, którzy nietylko napadają na moje transporty, ale nawet dybią na mnie samego i nie zawahaliby się przed zamordowaniem mnie, gdyby tylko nadarzyła się sposobność...

Urwał nagle i w oczach jego odbił się wyraźny przestrach, gdyż w ręku Wheelera zabłysł niespodziewanie spory, niebieskawo-stalowy pistolet automatyczny, wymierzony wprost w niego. Ruch ręki Wheelera, zastosowany przy wydobyciu broni z ukrycia pod kamizelką, był tak szybki i nieznaczny, że Harden zdrętwiał z podziwu.

Ręka z pistoletem opuściła się i na twarzy Wheelera pojawił się szeroki uśmiech.

— Chciałem panu tylko pokazać, czy umiem obchodzić się z bronią — rzekł śmiejąc się. — Przepraszam bardzo, że tak nagle...

Harden ochłonął i z niekłamanym podziwem wpatrywał się w Wheelera.

— Doskonale... Świetnie! — rzekł, klepiąc go po ramieniu. — Coraz bardziej mi się podobasz. Ale schowaj ten pistolet. Widzę, że będę miał z ciebie prawdziwy pożytek.

Pistolet znikł w mgnieniu oka gdzieś w fałdach ubrania Wheelera.

— Ponieważ chciałbym cię mieć pod ręką, zamieszkasz w tym domu — mówił Harden, rozpromieniony myślą, że zdobył tak zręcznego i sprawnego pomocnika. — Jest tu kilka osobnych gabinetów i w jednym z nich każę urządzić pokoik dla ciebie. Za jedzenie i picie nie będziesz płacił, dostaniesz wszystko na dole, albo, jeżeli zechcesz, przyniosą ci do pokoju. Pamiętaj tylko, że jak potrafię hojnie wynagradzać oddanych mi ludzi, tak też mścić się umiem za zdradę, za cień niewierności czy zdrady. Moc ludzka nie ochroni cię od strasznej kary, gdybyś mnie zdradził...

Wheeler słuchał spokojnie tych pogróżek. Na twarzy jego nie drgnął ani jeden nerw, gdy Harden zapowiadał krwawą zemstę, jaka przypadłaby w udziale tym, którzyby odważyli się zawieść jego zaufanie.

Rozmowa skończyła się na tem, że Harden dał nowemu członkowi szajki jeszcze dwieście dolarów „na oporządzenie się", i polecił Grecie przygotować mieszkanie dla Wheelera, który został jej przedstawiony jako „jeden z naszych chłopców".

Tej jeszcze nocy do jednego z gabinetów „Rajskiego kącika" wstawiono konieczne meble i Wheeler miał rano jechać do New Yorku, gdzie, jak mówił, zostawił w podrzędnym hoteliku całe swoje mienie, składające się z garnituru ubrania i cokolwiek bielizny.

Jakoż koło południa rzeczywiście pojechał do miasta i już przed wieczorem powrócił, wioząc z sobą mocno wyszarzaną walizkę, napakowaną ubraniem i bielizną, a oprócz tego przywiózł świeżo kupiony, nowy, porządny garnitur i zwykłe dodatki do męskiego ubrania. Nie wiedział, czy też nie chciał wiedzieć, że każdy jego krok, od wyjazdu z „Rajskiego kącika" aż do chwili powrotu był bacznie śledzony przez jednego z zauszników Hardena, który wyjechał w ślad za nim, otrzymawszy od herszta rozkaz szpiegowania, czy nowy towarzysz nie wstąpi gdzieś po drodze.

Baczne śledzenie nie przeszkodziło jednak Wheelerowi w napisaniu kilku słów i zaadresowaniu listu do Burskiego, jak również wysłaniu hotelowego chłopca z listem do skrzynki pocztowej, tak, że szpiegujący go, wcale nie spostrzegł wysłania korespondencji.

Po powrocie do „Rajskiego kącika" Wheeler zaznajomił się z kilkoma zaufanymi ludźmi Hardena, którzy, przeczuwając w nim dobrego towarzysza do wszystkiego, przyjęli go z otwartemi ramionami.

W ten sposób szajka Hardena zyskała jeszcze jednego członka, a on sam, jak otwarcie mówił, dochrapał się dobrej i korzystnej posady.

Nadeszła wreszcie chwila stanowczej próby jego odwagi, przedsiębiorczości i lojalności dla Hardena. Wysłany z czterema innymi w celu eskortowania i dostawy ładunku wódki, gdy na transport napadła gromada zbirów Gerbera, Wheeler okazał się bohaterem.

Gdy bowiem napastnicy wezwali eskortę ciężarowego samochodu do podniesienia rąk w górę i zejścia z samochodu, on jeden nie posłuchał wezwania i pierwszy zaczął strzelać tak celnie, że zranił kilku napastników, a resztę zmusił do sromotnej ucieczki. Następnie objął komendę nad transportem i dowiózł szczęśliwie cały towar na miejsce przeznaczenia.

Szczególnym zbiegiem okoliczności, żaden z napastników nie był ciężko raniony i walka odbyła się bez ofiar w ludziach. Kulki Wheelera trafiały przeważnie w nogi i to, jego zdaniem, wystarczało do ubezwładnienia przeciwników.



Podczas berlińskiej Olimpjady zostaną wprowadzone w użycie pistolety startowe, które są połączone z chronometrami, tak, że wskazują nawet tysiączne części sekundy.

W niedługim czasie Karl, jak nazywano go wśród członków szajki, stał się jedną z najważniejszych osobistości w hardenowskiej gromadzie. Wesoły i dowcipny szybko zjednał sobie względy wszystkich, nie wyłączając nawet olbrzymiego i ponurego Sama, który chętnie słuchał humorystycznych dyletkeryjek Karla i rad palił cygara, często ofiarowywane sobie przez nowego mieszkańca „Rajskiego kącika".

Tydzień upływał po tygodniu bez ważniejszych zmian w głównej kwaterze Hardena. Karl odbył kilka wypraw po wódkę, stoczył kilka potyczek z „Hijackerami", w jednej został nawet raniony, i z każdym dniem coraz bardziej wkradał się w zaufanie Hardena.

Nie pilnowano go już też wcale. Mógł nawet wyjeżdżać do miasta, kiedy mu się podobało, ale z przywileju tego bardzo rzadko korzystał. Raz i drugi pojechał z którąś z dziewczyn do teatru, czasem sam lub z pierwszym lepszym towarzyszem wybrali się do kinematografu, ale naogół większą część czasu wolnego od zajęć przemytniczych przesiadywał w „Rajskim kąciku".

Po kilku tygodniach pobytu, przekonał się, że Harden obdarza szczególnem zaufaniem Sama, murzyna, który od chwili powstania „Rajkiego kącika" nieprzerwanie pełnił służbę cerbera przy drzwiach sali i w razie potrzeby wyrzucał z lokalu niesfornych lub zbyt pijanych gości.

Codziennie prawie bywał gościem w pokoiku Sama i godziny całe spędzał na rozmowach z murzynem, który szczerze go polubiwszy, stawał się przystępny i rozmowny z Karlem, podczas gdy nigdy prawie nie odzywał się do innych członków szajki.

Murzyn miał nieprzeparty pociąg do wódki i wina, ale podczas służby przy drzwiach sali nie wolno mu było ani

skosztować tych napojów, co starał się wynagrodzić mu Karl, przynosząc często do jego pokoiku butelkę, którą niby wspólnie wypijali, chociaż Karl udawał tylko że pije i nalane kieliszki albo zręcznie wylewał, albo też nalewał tak, że murzynowi zawsze dostawał się pełny, jemu zaś trochę na dnie.

Pod wpływem alkoholu Sam czynił rozmaite zwierzenia i opowiadał najrozmaitsze rzeczy o swym chlebodawcu i „bosie", jak nazywał Hardena. Karl słuchał wszystkiego uważnie, nigdy nie przerywając opowiadającemu i najdrobniejsze szczegóły skrzętnie notował w pamięci.

Pewnego popołudnia, po wypiciu znaczniejszej niż zwykle ilości mocnej wódki, przyniesionej przez Karla, murzyn opowiedział, że kiedyś skradziono mu z pokoju cały garnitur ubrania, a gdy narobił o to gwałtu, Harden kazał mu zapomnieć o stracie i za kilka dni przywiózł mu z New Yorku nowe ubranie ładniejsze i znacznie droższe od skradzionego.

— Nie mam pojęcia, kto mógł zakraść się do mnie. Spałem twardo, bo to było już rano i nic nie słyszałem — mówił murzyn, pociągając z kieliszka. — A najwięcej to mnie dziwiło, że na stole leżał zegarek i notes, w którym miałem kilkadziesiąt dolarów. Wyobraź sobie Karl, że ani zegarka, ani pieniędzy złodziej nie zabrał, tylko ubranie, w kącie pokoju, przykryte innemi ubraniami.

— I powiadasz, że pan Harden kupił ci za to nowy garnitur? — spytał Karl.

— A tak. Powiedział, żebym nikomu mówił o kradzieży, to dostanę nowe ubranie, i słowa dotrzymał.

— Kiedyż to wszystko się działo?

— Ooo... już dawno. Nie pamiętam jakoś w tym czasie, kiedy gdzieś niedokładnie kiedy, wiem tylko, że było to daleko „Rajskiego kącika" stało się na drodze morderstwo. Jeden reporter z New Yorku, który był nawet raz czy dwa u nas, podobno napadł jakiegoś handlarza czy kupca kosztownemi kamieniami, zabił go i obrabował doszczętnie.

— No i co? Czy złapali tego reportera?

— A jakże. Złapali go zaraz, na miejscu zbrodni, ale jakoś się stało, że przy rozprawie sądowej został uniewinniony.

— Aha... To mniej więcej wtedy skradziono ci ubranie?

— Tak. Właśnie tego ranka, kiedy złapali owego reportera przy trupie zamordowanego. Ale poco ja ci to mówię, kiedy Harden zakazał mi o tem wspominać?...

— Nic nie szkodzi. Swoją drogą, ciekawa rzecz, kto mógł skraść ci ten garnitur... Bo przypuszczam, że zwykły złodziej byłby przedewszystkiem zabrał zegarek i pieniądze, a nigdy nie zadawałby sobie trudu wyciągania ubrania z pod innych łachów, prawda?

— Tak też i ja myślałem.

— Widzisz. Ciekawa, bardzo ciekawa sprawa. A któż tu wtedy mieszkał w domu? Może kto ze służby zakradł się i chciał ci tylko zrobić psotę.

— Nie. Była stara Marja - Anna, kucharką, panna Burska, wychowanica pana Hardena, która niedługo potem uciekła do New Yorku, sam Harden i jego żona. Oprócz tych osób, były jeszcze dziewczęta - kelnerki i dwóch kelnerów, ale ci wszyscy pojechali do miasta po zamknięciu sali. Nic innego tylko ktoś się zakradł już nad rankiem i okradł mnie, bo przecież Harden tego nie zrobił.

— Prosta rzecz. No, Sam, zostawię cię. Musisz przespać się, bo wieczór niedługo, i za jakie trzy godziny będziesz musiał zająć swe stanowisko w sali. Do widzenia. Zobaczymy się znów jutro.

Karol Winters, który wkręcił się do szajki Hardena pod nazwiskiem Wheelera i, w celu zdobycia zupełnego zaufania herszta, udawał łotra z pod ciemnej gwiazdy, wyszedł z izdebki Sama i udał się do swego pokoju na górę. Opowiadanie murzyna dało mu wiele do myślenia. Usiadłszy w fotelu, począł rozważać szczegóły historji kradzieży ubrania.

— Dziwna rzecz — myślał. — Dlaczego Harden kupił murzynowi ubranie i jaki miał cel w niedopuszczeniu do rozgłoszenia sprawy? A przedewszystkiem, kto mógł dopuścić się tej kradzieży? W jakim celu? Były przecież pieniądze i zegarek na stole, a tych złodziej nie ruszył. Nie wziął nic więcej ponad marny garnitur ubrania... Widocznie komuś zależało na zdobyciu ubioru dla człowieka takiego wzrostu i tuszy jak Sam... A murzyn przecież zaliczał się prawie do olbrzymów...

— Zdaje mi się, że znalazłem nitkę, po której dojdę do kłębka — mruknął do siebie. Zniknięcie ubrania Sama musi mieć związek ze śmiercią Piotra. Z tego co Sam opowiadał, nabieram przekonania, że nikt inny nie zabrał mu ubrania, jak tylko sam Harden. Ale dlaczego i dla kogo? I to właśnie nad ranem tego dnia, kiedy w nocy zamordowali brata... Gdybym mógł znaleźć w szajce człowieka podobnego wzrostu do Sama, byłbym na tropie, ale...

Nagle przerwał tok myśli. W głowie zamajaczyło mu niejasne wspomnienie, że podczas utarczki z napastnikami, którzy chcieli odebrać transport wódki Hardena, zauważył wśród uciekających opryszków ogromnego draba, który po pierwszych strzałach nie stawiał oporu, tylko ukrył się w zaroślach przydrożnych i znikł bez śladu.

— Trzebaby przyjrzeć się bliżej tym panom z obozu Gerbera — myślał dalej. — A szczególnie temu wielkiemu drabowi, na którego ubranie Sama w sam raz nadawałoby się. Nic, tylko muszę za wszelką cenę zapoznać się z nim.

Upłynęło kilka dni. Karol, codziennie zachodził do izdebki murzyna i przynosił z sobą butelki, ale ponad to, czego się już dowiedział, nic więcej nie zdołał wyciągnąć od Sama. Równocześnie był tak miłym i solidarnym towarzyszem, tak potrafił bawić całe towarzystwo, że z każdym dniem stawał się popularniejszy i więcej lubiany.

Pewnego popołudnia, po pomyślnem przewiezieniu potężnego ładunku butelek i dostarczeniu towaru w miejsca, wskazane przez Hardena, Karl wszedł do gabinetu herszta.

— Hallo, Karl! — przywitał go Harden, mierząc ciekawem spojrzeniem. — Przypuszczam, że masz do mnie ważny interes, skoro tu przyszedłeś. Pewno potrzeba ci pieniędzy, co?

Ciąg dalszy w nast. numerze.



W Hatfield w hrabstwie Hertford w Anglji, gdzie królowa Elżbieta spędziła swoje dzieciństwo, odbywają się historyczne festiwale ku uczczeniu pamięci królowej. — Na zdjęciu fragment pochodu w kostjumach historycznych, którego uczestnicy uroczystości niosą „królowę" Elżbietę na tronie.

4)

Skarby Chana Mugańskiego

Powieść sensacyjna *Tłum. Jerzy Laskowski*

Część I.

Bolszewicy rozstrzelali generała, który do ostatniej chwili był wierny Habsburgom. Rodzina znalazła się prawie w nędzy. Ale Pan Bóg pamiętał o niej... Jakiś wpływowy dyrektor z Hollywood przypadkiem trafił do Budapesztu... Przypadkiem też spotkał czarującą dziewiętnastoletnią szatynkę Margitę Bem-Ermoli. Wszystko przypadkiem! Ujrzał, stanął jak wryty i kontrakt gotów! Dalsza karjera Mar-Molli rozwijała się w naszych oczach. I w oczach całego świata. Początkowo w Hollywood, potem w Paryżu u O'Donnela. Czy jest pan zadowolony teraz?

— A romanse... kochankowie?

— Romanse, kochankowie... zaraz, niech pomyślę... Myśląc, Gromenia, znowu łyknął benedyktynki i oblizał wargi.

— Naprzykład, czy to nie romans?... Z Hollywoodu Mar-Molli jeździła do Budapesztu w odwiedziny do matki i sióstr. I wtedy właśnie młody książę Lobkowitz palnął sobie w łeb... Z tych Lobkowitzów - magnatów... A czy był jej kochankiem — tego nie wiem!

— A w Paryżu? Jak długo pan z nią współpracuje?

— Drugi rok. Ale nic nie zauważyłem. Wielbicieli — moc. Wprost warjowali. Książęta, bankierzy, artyści... Ale nawet patentowane kumoszki i plotkarki nie mogły stwierdzić nic konkretnego, nie mogły wymienić żadnego nazwiska... Ma pan teraz bardzo dużo wiadomości o niej i jednocześnie bardzo mało.

Gafani milczał, bębniąc w stół krótkiemi, krzywemi palcami. Na małym palcu miał duży brylant. W powierzchowności Gafaniego ręce stanowiły najbrzydszą część jego ciała.

Po małej przerwie zapytał:

— A jak się panu podoba nasz „Dar pustyni"?

Życie nauczyło Gromenia dyplomacji. Gafaniemu jakoś trudno trafić do gustu. Chwalić — nie podoba się, krytykować — nie uwierzy... Najlepiej — trzymać się złotego środka.

— Jak może się podobać, albo niepodobać człowiek, którego jeden tylko raz widziałem i to leżącego w szpitalu? Jak dotychczas — wrażenie bardzo nieokreślone. Jak się okazuje, to — „jego wysokość"... Dowodził całą korduelską jazdą.

— Dopóki Barbasan mu karku nie skręcił.

— Szczęście jest zmienne — Gromenia zrobił grymas, mający wyobrażać pokorę przed losem — ale nasz dyrektor O'Donnel jest doprawdy aniołem! Jak on się troskliwie opiekuje tym chanem! Przecież to chan rozprószył armję Mursji! Gdyby tak miejscowe władze wiedziały, kto przebywa w naszym obozie...

— I cóż wtedy?

— Wtedy, mio Dio, oni by mu chyba przypomnieli...

— Kto wie... A możeby powierzyli mu naczelne dowództwo pod warunkiem, że „rozprószy" korduelczyków. Narazie niezmiernie jestem rad, że mogę przyjąć w gościnę jego wysokość, gdyż dziś już wychodzi spod opieki Zeraicza i przenosi się do mojego namiotu...

— Gafani! pan jest aniołem! Jak O'Donnel.

— Nie jestem aniołem, tylko sam jeden w namiocie, podczas gdy w innych mięszka po dwie lub trzy osoby.

Oboje udali się do „Atlantic'u" na kolację.

Pod koniec kolacji, gdy było już późno, a gruntownie wstawiony Gromenia zasnął, Gafani zbudził go, mówiąc:

— Już czas wracać... W domu się pan wyśpi...

Szofer - mulat zawiózł ich do obozu.

Gafani wszedł do obozu i włączył kontakt.

Ammałat już spał.

Obok niego, na krześle leżało ubranie, wydane z garderoby trupy. Jasna bluza i bryczesy.

Gafani słuchał. Oddech równy... Śpi.

Wyjrzał przez niewielkie okienko. Zasunął firankę i płócienne drzwi. Starannie sprawdził, czy nie zaglądają gdzie niepowołane oczy. I znowu nasłuchiwał.

Z kieszeni kamizelki wyjął maleńki flakonik, szybko odkorkował, podszedł na palcach do śpiącego i przyłożył flakonik do nosa na dwie — trzy sekundy.

Następnie z całym spokojem zaczął rewidować kieszenie bluzy i spodni.

Wyciągnął portfel, który go tak zaciekawił już w pierwszych dniach.

Przejrzał i włożył spowrotem do portfelu paszport, wydany przez sztab generalny Kordueli.

Obejrzał skrawek zżółkłej gazety i chciał już go schować razem z paszportem, ale, zaintrygowany, rzucił okiem na pierwsze zdania... Zaczął uważniej czytać... A gdy przeczytał jeszcze raz, krew uderzyła mu do głowy taksamo, jak wówczas Ammałatowi, gdy siedział w pustyni koło ogniska u stóp krzyża...

Odetchnąwszy, Gafani patrzał jakiś czas na mocno śpiącego Ammałata...

Łóżka były rozdzielone stołem.

Gafani usiadł przy stole i przepisał dokładnie wszystko na kawałek listowego papieru, poczem dopiero schował skrawek paryskiej gazety do portfelu, a portfel do kieszeni kurtki Ammałata.

Rozebrał się i ułożył się do snu, ale długo nie mógł zasnąć.

Przewracał się z boku na bok, myśląc o czemś z naprężeniem...

9. Każdy z bohaterów po swojemu przejawia swe właściwości

Jakto, i pan słyszał o nim? O wielkim Farscuello? On już dawno, bardzo dawno nie pracuje... Będąc chłopcem jeszcze ćwiczyłem na wiejskich corridach „passeo" swoją połataną kurtką, zamiast przepisowej kapy, a Frascuello był już w pełni sławy i uważany był za najlepszą szpadę Hiszpanji... Będzie miał już teraz siedemdziesiątkę. W Kordobie ma szkołę tauromachji. Frascuello — to już historja... Ale bożyszcze bożyszczem zostanie! Nawet po przejściu do historji. Torreros jeżdżą do niego do Kordoby z hołdami, jak wasi muzułmani do Mekki. A Gerita, maleńki Gerita, od niechcenia, z niewypowiedzianą gracją zwalczał największych, „najtrudniejszych" miurskich byków!.. A Mazantini — król od głów do stóp! Swoim wyglądem tylko brał w niewolę dwudziestoośmiutysięczny tłum w Walencji, gdzie znajduje się największa „plaza de torós" Hiszpanji. Żaden byk nigdy nie ważył się dotknąć jego czekketylji. Po ostrzyżeniu coletty Mazantini poświęcił się polityce i został wybrany do kortezów. Jedyny matador z wyższem wykształceniem — doktór matematyki. Ale kogo matematyka wykarmi? A zwłaszcza u nas w Hiszpanji?.. I Mazantini stał się matadorem i miljonerem. Nie widziałem piękniejszego mężczyzny i, prawdopodobnie, już nigdy nie zobaczę.

Tym razem Antonio Savedra snuł nić drogich mu wspomnień i obrazów nie przed Gafanim, a przed Ammałatem, w którym znalazł bardziej ważnego i wykształconego rozmówcę.

Obu zbliżało to, co zbliża zazwyczaj śmiałych sportsmenów, chociażby należących do różnych dziedzin.

Ćwiczyli szermierkę.

We floretach Ammałat ustępował Savedrze, w szabli zaś bił go, jak chciał.

Ale największy zachwyt wzbudzał Ammałat nie tylko u Savedry, lecz u całej trupy, począwszy od O'Donnela i kończąc na szoferach i grumach, swoją jazdą konną i dżigitówką.

Z Bar-Molli chan mugański rozpoczął wyższą szkołę jazdy konnej.

Po kilku dniach niebieskooka węgierka poznała „hiszpański krok" i galop na trzech nogach...

Sam zaś mistrz podejmował z ziemi w pełnym galopie chusteczki, rąbał szablą gałązki, zeskakiwał z konia, biegł obok i znowu wskakiwał...

Wszyscy bez wyjątku zachwycali się jego wyjątkową zwinnością, zręcznością i siłą chwytów i lekką, elastyczną postacią, tworzącą jakby całość nierozdzielną z koniem.

Nawet Manija d'Or rzucała swój płaszczyk wampa, pełnego przesytu i obojętności...

Na zachwyty, rzucane pod jego adresem, Ammałat zupełnie bez pozy i szczerze odpowiadał:

— Przecież to są drobnostki, które wykonać potrafi pierwszy-lepszy Kozak, lub góral kaukazki, Mugańczyk, każdy Arab — jeździec pustyni.

Benau, który nigdy nie zapominał o swojej roli reżysera, zapytał:

— A czy nie potrafi pan czegoś bardziej skomplikowanego, bardziej efektownego, karkołomnego?

— Potrafię.

— Naprzykład?

— Naprzykład, w galopie przesuwam się pod brzuchem konia z prawej strony na lewą i znowu siedzę w siodle. Ale i to jest rzeczą znaną...

— A co jest rzeczą nieznaną? Jakiś pana własny wyczyn?

— Mój własny!.. Po śmierci starego księcia Marszanji, który był moim nauczycielem, ja, prócz siebie, nie znam nikogo, ktoby mógł to wykonać...

— Na miły Bóg! — zapalił się mały, wypasiony Benau.

— W galopie chwytam za rogi i wyrywam z ziemi zakopanego barana...

— To niemożliwe!..

— Wcale nie mam zamiaru pana nabierać! — uśmiechnął się Ammałat.

— Wierzę panu, wierzę, ale... pan przyzna... w pełnym galopie i w dodatku pokonać podwójny opór... ciężar barana i ciężar ziemi...

— Właśnie i w pełnym galopie!.. To koń swoim potężnym pędem pokonywa głównie ten opór. Zadaniem zaś jeźdźca jest trafić w tempo z dokładnością do jednej dziesiątej sekundy. Zwinność, dobre oko, trening...

— No, wie pan.. dziękuję pięknie!...

I poskrobawszy się za uchem, Benau zamyślił się.

— Pan jest prawdziwym „darem pustyni", zesłanym przez Boga... Czy zgodziłby się pan przerobić tę całą sztukę z baranem? Nie dla naszej przyjemności, a dla filmu. Pan nie ma wprost pojęcia, jaki ten numer, nigdzie nie widziany, podniósłby wartość naszego filmu! Zgodziłby się pan?

— Proszę mną dysponować... Jestem niewypłacalnym dłużnikiem panów! Czy to będzie wstawka?

— W żadnym wypadku, — zaprotestował Benau — tę sztukę musi wykonać bohater filmu, to znaczy Gafani... Tylko w tym wypadku będzie to miało sens i rację. Zgadza się pan jeszcze raz dublować? Tym razem świadomie! Czy pana ambicja autorska nie ucierpi na tem?

— Bynajmniej, panie Benau, bynajmniej... Jestem do zupełnej dyspozycji panów...

— Serdecznie dziękuję!.. Teraz widzę, że film będzie sprzedany! Nasze wkłady już się oprocentowały. Przynajmniej pięćset procentów... Na rzecz Gafaniego przypadną cudze, niezasłużone tryumfy. Ale pal go djabli — film przedewszystkiem! O'Donnel zawarł z nim kontrakt, a ja nawet nie wiem, czy on jeździ konno... Podług scenarjusza bohater nic innego nie robi, tylko galopuje konno! Porozmawiam z Gafanim...

I Benau porozmawiał.

— Gafani, jaki jest pana stosunek do koni?

— Jak należy to rozumieć, panie Benau?

— To znaczy jak pan jeździ konno i, wogóle, czy pan jeździ?..

— Śpieszę pana uspokoić, — złośliwie odrzekł Gafani — w młodości służyłem, jako jednoroczniak w jednym z kawaleryjskich pułków w Austrji... A potem jeździłem konno już jako osoba cywilna. Ale, jeśli pan żąda ode mnie cyrkowych numerów à la chan mugański...

— Ja się też tego nie spodziewam po panu... Ale ponieważ cyrkowe numery są nam potrzebne, więc chan mugański uprzejmie się zgodził...

— Wielki zaszczyt i dla mnie i dla dyrekcji — odrzekł Gafani z sarkastycznym uśmiechem.

— Nie wątpię! Pan może być tylko wdzięczny chanowi.

— Nie omieszkam wyrazić swoją serdeczną wdzięczność jego wysokości...

— Aha... — przypomniał sobie Benau — czy pan zapoznał się dokładnie z umową przed podpisaniem?

— Uważnie... a co takiego? — nastawił uszu Gafani, spodziewając się jakiegoś nowego kawału od reżysera, którego zdążył już gruntownie znienawidzieć.

— Czy przypomina pan sobie paragraf II? Na żądanie dyrekcji, artysta jest zobowiązany zmniejszyć lub zwiększyć wagę swojego ciała, poddając się odpowiednim ograniczeniom i djecie, gimnastyce lub elektryzacji, albo też przeciwnie — wzmożonemu odżywianiu się. Druga część tego paragrafu pana nie dotyczy... Apetyt ma pan do pozazdroszczenia...

— Jak i pan, reżyserze! — nie wytrzymał Gafani.

— Ja... ja jestem reżyserem i mogę wypaść sobie nie taki nawet brzuch! Nikomu nic do tego... Pan — to inna sprawa! Proszę stracić na wadze, schudnąć w pasie i wogóle... Musi pan się zbliżyć wyglądem jaknajbardziej do swojego sobowtóra! Proszę spróbować...

— Spróbuję, — niby z pokorą obiecał Gafani, dławiąc złość wewnątrz siebie.

W żaden sposób nie mógł przyzwyczaić się do swej aktorskiej zależności, dobrowolnie graniczywszy się ramkami dyscypliny, i do dyktatorskiego, rozkazującego sposobu postępowania reżysera Benau.

Ale, od biedy, można się z tem jeszcze jakoś pogodzić. Za tę cenę chciałby pozostać w pobliżu Mar-Molli.

Niech go tam sekuje reżyser... Gafani będzie gimnastykował, biegał, będzie niedojadał, żeby tylko schudnąć i dogodzić Benau, ale ma stanowczo dość tego sobowtóra z mugańskich stepów!... Dość!

Obchodzą się z nim, jak z jajkiem, zrobili z niego jakąś doskonałość, jakiś nieosiągalny wzór mężczyzny, kawalerzysty, i ten ideał stawiają mu przed oczy: ucz się, bracie i naśladuj!

Gafani sam sobie nie chciał się przyznać — ledwo pojawił się ten „dar pustyni", Mar-Molli zaczęła jakby unikać swojego partnera. Przed pojawieniem się Ammałata, ona, jeśli nie szukała towarzystwa Gafaniego, to przynajmniej nie unikała go. A teraz...

Ten książęcy akrobata i jeździec ujeżdża nie tylko konie, ale, zdaje się, i amazonkę. Te ich wspólne przejażdżki konno, ich spojrzenia przy wspólnym stole podczas śniadania, obiadu...

Ciąg dalszy w nast. numerze.

Wśród warjatów

czyli

Upiór zamku Sokolskich

(Romans) 97)

„Panie radco opiekuńczy!“ zawołała Anielcia wzruszonym głosem, „za dużo dobroci! Przecież mię pan nie zna, a mimo tego okazuje mi pan tyle zaufania! Zgadzam się i zapewniam pana, że nie zawiodę pańskiego zaufania.“

„Proszę sobie nie wyobrażać zbyt łatwo nowego zatrudnienia!“ zawołał radca opiekuńczy. „Musi pani odwiedzać rodziny, u których znajdują się dzieci na wychowaniu i przekonywać się, czy mieszkania są czyste, i czy dzieci otrzymują wychowanie i porządne jedzenie! Proszę nie wierzyć słowom! Ci ludzie myślą, że nas wyprowadzą w pole ze swojemi pobożnemi minami. Nie dajemy się łapać na tego rodzaju pobożność! Dobre gospodynie nie mają czasu na wysiadywanie po kościołach!“

„Staruszku!“ zawołała żona pana Kolbego. „Słowo Boże nikomu jeszcze nie zaszkodziło. Nie powinieneś robić takich uwag tej młodej panience!“

„Nie jestem tak zwanym bigotem!“ odparł radca opiekuńczy. „Mojem zdaniem prawdziwa pobożność polega na tem, że każdy człowiek spełnia swoje obowiązki i jest odpowiedzialny za czyny przed Bogiem i ludźmi. — — — Rozumie mnie panienka? Jam nie poganin i może jestem lepszym chrześcijaninem, aniżeli wielu innych! Ostrzegam panią! W tak młodym wieku można bardzo łatwo wziąć pozory za prawdę! — Jutro obejmie pani swoje obowiązki! Z mieszkania wdowy Majerhof powinna pani się wyprowadzić! W Berlinie mamy duży wybór mieszkań. Niech pani oglądnie się dzisiaj za jakim pokojem! Jutro obejmie pani kontrolę!“

Anielcia podziękowała w serdecznych słowach za przysługę. Następnie pożegnała się z radcą i jego żoną. Stała już we drzwiach, gdy pan Kolbe zawołał:

„Właśnie wpada mi do głowy, czy pani niepotrzebuje pieniędzy na przeprowadzenie! Może pani ma i inne wydatki? — Proszę przyjąć sto marek jako bezprocentową pożyczkę, którą nam pani spłaci w miesięcznych ratach.“

Anielcia opuściwszy dom radcy opiekuńczego, miała przeczucie, że przed nią otwiera się lepsza przyszłość. Nie bolała ją ta samotność, w której dotychczas żyła. Nowe zajęcie uwolni ją od wszystkich trosk i sprawi niejedną uciechę.

Była dumną z tego, że rozwinie pożyteczną działalność. Czyż jest coś piękniejszego od pracy nad opuszczonemi dziećmi? Piękna, młoda dziewczyna przyrzekła sobie spełnić święcie obowiązki, troszczyć się o wychowanków i otaczać ich sumienną opieką.

Przedewszystkiem musi się wyprowadzić z obecnego mieszkania. Ta myśl spadała jak gorzka kropla do radosnej czary Anielci.

Wiedziała, że Majerhof będzie zła, gdy jej wypowie mieszkanie. Czuła trwogę przed brutalnością tej kobiety i uszczypliwemi uwagami jasnowłosej Almy.

Anielcia nie pomyliła się w swoich przypuszczeniach.

Gdy oznajmiła pani Majerhof, że korzysta z przysługującego jej prawa i wypowiada mieszkanie, — stara kobieta zawołała gniewnie:

„Dlaczego nie powiedziała mi pani tego przed dwoma tygodniami? Teraz siedzę na lodzie z moim gabinetem! Pewnie moje mieszkanie nie podoba się pani? Tak, jeżeli się ma wysokie znajomości, to łatwo można sobie trzymać eleganckie mieszkanie.“

„Radca opiekuńczy Kolbe ma dużo pieniędzy!“ zauważyła Alma, która właśnie siedziała przy lustrze i zapiekała włosy; „widzisz, matko, zawsze mówiłaś, że z cnotą można wszystko osiągnąć! Trzeba tylko umieć ją udawać i nosić na twarzy pobożną maskę. Mężczyźni lecą na to!“

Anielcia nie odpowiedziała na podłe docinki tych złośliwych kobiet. Spakowała swoje rzeczy i wyszła z mieszkania.

Wdowa wybiegła za nią i czekała na Anielcię przy bramie razem z innemi sąsiadkami, opowiadając im o niespodziewanem szczęściu swojej lokatorki.

Anielcia przechodząc koło tych kobiet posłyszała kilka obraźliwych uwag. Nie zważała jednak na to.

Wyszła prędko z domu; na ulicy rozglądała się za jakimś pokojem.

Sprzyjało jej szczęście. Oglądnąwszy kilka mieszkań, znalazła wreszcie pokój, odpowiadający jej wymaganiom.

Wynajęła mały pokoik na parterze w porządnym domu, z widokiem na uroczy ogródek.

Ludzie, u których wynajęła mieszkanie, pobrali się niedawno temu. On był poczciwym szewcem i cały dzień pracował pilnie w swoim warsztacie. Jego żona, jasno-włosa kobieta, pomagała mu z całych sił w zarabianiu pieniędzy i w tym celu odnajmowała jeden pokój.

Anielcia urządziła się zaraz wygodnie w nowem mieszkaniu.

Gospodyni zawiesiła w jej pokoju klatkę z kanarkiem, a na oknie umieściła piękne, czerwone kwiaty.

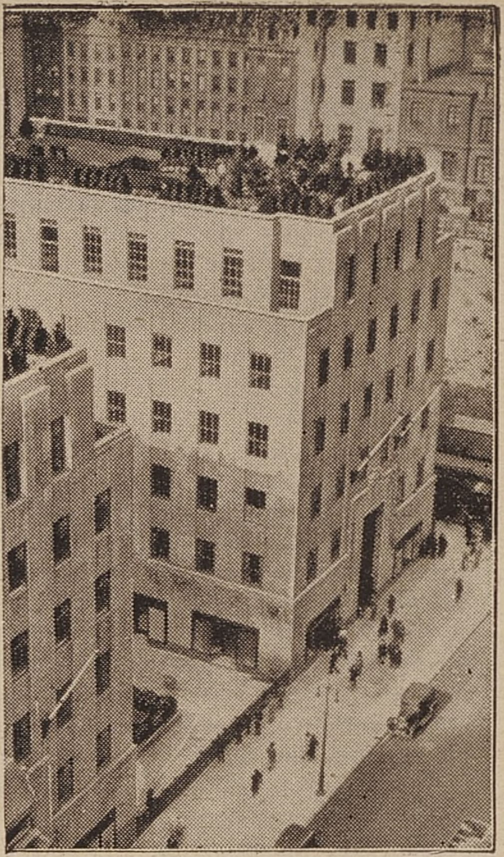
Następnego dnia Anielcia udała się do mieszkania radcy opiekuńczego, gdzie otrzymała spis owych rodzin, którym stowarzyszenie dawało opuszczone dzieci na wychowanie.

Anielcia, zachwycona tem zajęciem, rozpoczęła zaraz kontrolę.

Tego samego dnia wieczorem przekonała się, że jej nowe zajęcie nie jest znowu tak łatwe.

W owym dniu widziała prawdziwych nędzarzy, — mieszkania odrażające nieczystością. Anielcia pojęła teraz, dlaczego ostrzegł ją radca opiekuńczy przed ukrytemi niebezpieczeństwami.

Nie myślała, że zobaczy kiedyś takie straszne obrazy z życia ludzkiego.



Ponieważ w Nowym Jorku jest bardzo mało zieleni, mieszkańcy tej metropolji szukają podczas obecnych upałów cienia i ochłody na dachach drapaczów chmur, na których założone są... ogrody.

Anielcia zauważyła, że rodziny, przyjmujące dzieci na wychowanie, są obdarzone zwykle licznem potomstwem.

W jednej izbie mieszkało czasem dziesięć osób! — Biedny wychowanek spał w ciemnym kącie i był wystawiony na barbarzyńskie obejście.

Anielci kurczyło się serce z bólu, gdy pomyślała o nędzy tych biednych dzieci.

Opuszczone przez niewiernego ojca, wyrzucone na ulicę przez bezwstydną matkę, były teraz powierzone opiece obcych ludzi, którzy dostawali za to szczupłe wynagrodzenie z kasy towarzystwa dobroczynności.

Większa część dzieci chorowała. Zwykle cierpiały te biedne istoty na angielską chorobę, którą zupełnie słusznie można nazwać plagą biednych dzieci.

Nieszczęśliwe dzieci o krzywych nogach, spuchniętych członkach, czworokątnej głowie, żółtą twarzą i bezbarwnym wzrokiem, — zbliżały się wszędzie do Anielci.

Gdzieindziej, gdzie już dzieci podrosły, używano je do ciężkiej roboty, przewyższającej siły biednych stworzeń.

Musiały przynosić węgle z piwnicy i uważać na niemowlę w kołysce; posyłano je z koszykiem na targ — a biada, gdyby zagubiły jednego centa, albo kupiły sobie kromkę białego chleba!

Te dzieci nie chodziły nawet do szkoły. Rosły jak oset w polu. Najgorsze jednak było, że dzieci mieszkające w jednej izbie z całą rodziną, patrzyły na sceny, które bezwarunkowo musiały zatruć i zburzyć ich niewinność.

Anielcia płakała gorzko, gdy wieczorem wróciła z kontroli do swojego pokoju. Wiedziała teraz, że nad jej całem życiem rozszerzyła się zasłona

przetykana łzami. Kto tak blisko styka się z nędzą, ten nie może być nigdy szczęśliwy.

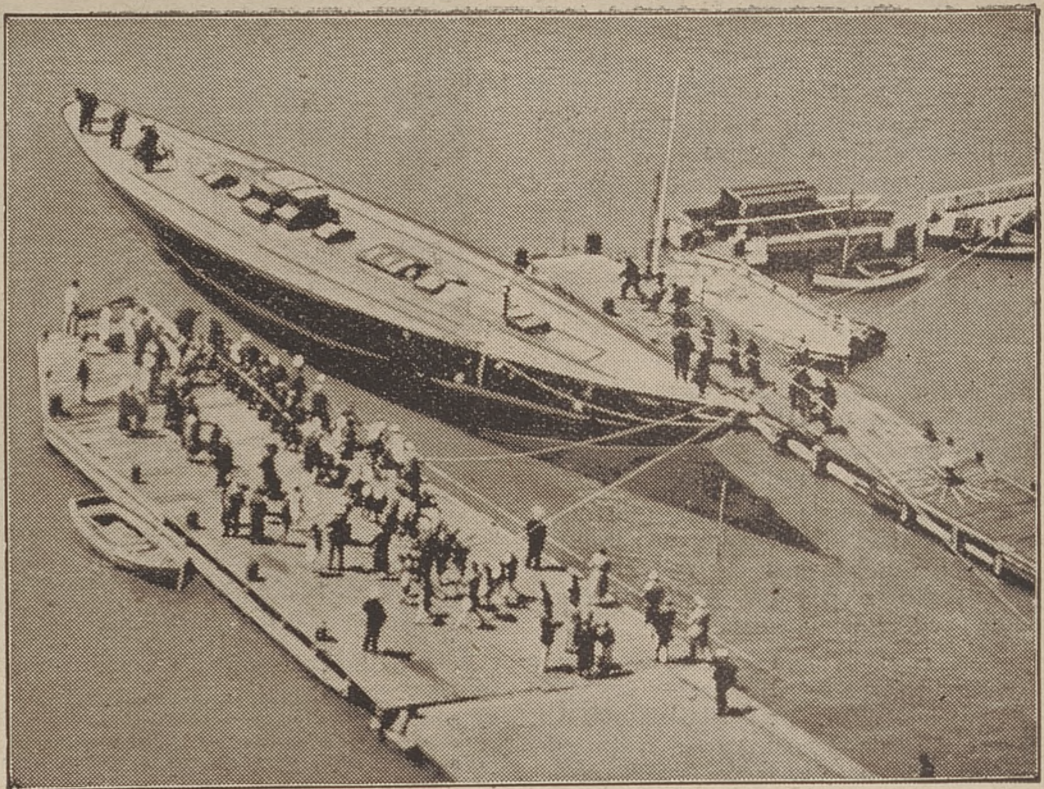
Lecz następnego dnia Anielcia podjęła znowu odważnie swój obowiązek.

Chodziła całymi dniami. Tydzień mijał za tygodniem, miesiąc za miesiącem i tak przeszło pół roku.

Te sto marek pensji, które otrzymywała regularnie od Kolbego, nie wystarczyły na pokrycie wszystkich potrzeb. Nie dlatego, że młoda, piękna dziewczyna zmieniła tryb życia, — przeciwnie, Anielcia ograniczyła się na każdym kroku, oszczędzała jak skąpiec i nie pozwalała sobie na żadne przyjemności. Niestety nie mogła obojętnie patrzeć na łzy i niedolę biednych istot. Dawała datki z własnej kieszeni i rozdzielała je hojną ręką...

Spotkała dziecko, potrzebujące nowej sukienki, to kupowała bez namysłu. Innym przynosiła pończoszki i trzewiki, — chorym lekarstwa i jedzenie, — a dorastającej młodzieży pouczające książki.

Wkrótce w całym obwodzie znano ją jako pocieszycielkę biednych. Ludzie wierzyli w nią jak w anioła stróża, którego niebo zesłało na ziemię. Anielcia była jeszcze młoda i stała w rozkwicie swojej piękności, lecz mimo tego biedne dzieci nazywały ją, — „ciocią Anielcią".



Ulubiony jacht wyścigowy „Britannia" własność zmarłego króla angielskiego, Jerzego V., zostanie zatopiony na pełnem morzu, aby nie służył innemu panu. Przed zatopieniem statku, wszystkie cenne rzeczy, znajdujące się wewnątrz, zostały rozebrane i rozdane jako pamiątki najbliższej rodzinie króla i ważniejszym obywatelom Anglji.

CLX.

Opuszczone dziecko

Nadeszła wiosna, a drzewa, które nadały Frankfurckim Alejom pięknie brzmiącą nazwę, okryły się zielenią i napełniały powietrze balsamiczną wonią.

Było to w pierwszych dniach czerwca, gdy Anielcia wyszła z domu i udała się na kontrolę.

Dzisiaj miała odwiedzić jedną kobietę, której powierzono jednorocznego chłopczyka. W liście osób figurowała jako pani Gilowa.

Zamieszkiwała małe mieszkanie z oknami do podwórza, w czteropiętrowym domu przy ulicy Jasnej. Anielcia nie była jeszcze u niej i nie widziała tego chłopczyka, którego jej dano w opiekę.

Młoda dziewczyna stała właśnie przed owem mieszkaniem. Już sam zewnętrzny wygląd przejął ją odrazą. Schody niezamiecione Bóg wie odkąd, rywalizowały z brudnemi drzwiami i odrapanemi ścianami.

Anielcia przyzwyczaiła się już do tego. Wiedziała, że nędza nie chodzi nigdy w parze z czystością. Kobiety, mieszkające w podobnych domach, nie mogą trzymać służącej. Jedna para rąk nie podoła wszystkiemu.

Anielcia zapukała do drzwi. Przeszło kilka minut, zanim do drzwi zbliżyły czyna cofnęła się z przerażeniem. Zobaczyła istną jaskinię zbójecką, w której się posuwiste kroki.

Teraz otwarły się, — młoda dziewrej obok nędzy panował dziki nieporządek.

Właścicielka tego mieszkania robiła odrażające wrażenie. Anielci zdawało się, że gdzieś widziała tę kobietę, chociaż ząb czasu zmienił bardzo jej rysy. Brzydka, wychudła kobieta, była niegdyś pełniejszą, — dowodził tego obwisły brzuch i pomarszczona skóra. — Widocznie jakaś choroba wycieńczyła ją tak strasznie.

„Pani Gilowa?" zapytała Anielcia.

„Tak jest!" odparła kobieta, „czego pani sobie życzy, — może się pani pomyliła we drzwiach?"

„Nie! Przychodzę ze stowarzyszenia opieki nad opuszczonemi dziećmi, któremu powierzyło pani chłopczyka. Chcę go zobaczyć. Muszę się przekonać, czy dziecko nie cierpi nędzy."

Stara kobieta zaniepokoiła się. Po chwili opanowała jednak trwogę i zawołała aroganckim głosem:

„Istne szpiegowanie! — Dziecku nic nie brakuje. Za te kilka marek trzeba składać kilka razy rachunek. Niech pani wejdzie, — przecież nie będziemy rozmawiały na progu! Zbyt ładnie u mnie nie wygląda, — lecz to nie moja wina, — jestem kaleką."

Teraz zauważyła dopiero Anielcia, że lewe ramię kobiety było bezwładne; jedną nogą także tylko z trudem poruszała, widocznie dostała apopleksji, która poraziła lewą część ciała.

Anielcia weszła do pokoju i oglądała się za dzieckiem.

„Gdzie dziecko?" zapytała, nie widząc nigdzie chłopczyka.

„Nie widzi go pani?" odparła opryskliwie stara wiedźma, „leży tam w skrzyni."

Anielcia zauważyła teraz skrzynię, w której nie spodziewała się znaleźć dziecka. Poka stała na brudnej ławce, tuż — obok pieca.

„Boże, co pani zrobiła?" zawołała Anielcia, wyjmując dziecko ze skrzyni. „W takiem miejscu nie powinno się kłaść dzieci! — Mój Boże, — jak on wygląda! — Wywrócił oczka, — otwarł usta — Boże, — dziecko umiera. — Nie daje mu pani nic do jedzenia?"

„Co pani sobie myśli, żem je zamorzyła głodem?! — Oho, nie wyjeżdżaj pani z takiemi historyjkami, bo stracę cierpliwość! — Uważam jak na książęce dziecko! Lecz takie małe robactwo chciałoby pić ciągle mleko, a za te piętnaście marek, które dostaję miesięcznie, nie mogę przecież trzymać krowy!"

„To maleństwo zdaje się wogóle nie widziało mleka!" zawołała Anielcia. „Źle się opiekujecie dziećmi! Postaram się, by wam odebrano dziecko."

„Niech pani zabierze je ze sobą!" odparła stara wiedźma, wpatrując się uporczywie w twarz Anielci; „i tak nie będzie długo żyło! Tem lepiej, gdy zginie na ulicy. Jeżeli właśnie rodzice wyrzucili dziecko na bruk, to przecież obcy ludzie nie będą się niem opiekować! No, będę zadowolona, gdy się skończy ta cała historja. Obejdę się bez tych piętnastu marek! Ach, czuję znowu kurcze serca! Naturalnie, niepotrzebnie się zgniewałam! Muszę zażyć łyżkę lekarstwa!"

Kobieta wyjęła flaszkę i odkorkowała ją. W izbie rozszedł się zapach ordynarnego spirytusu, — widocznie wiedźma pocieszała się wódką.

Teraz podała flaszkę niemowlęciu. Anielcia nie chciała wierzyć własnym oczom, gdy zobaczyła, jak mały chłopczyna ujął chciwie rączkami za flaszkę.

„Precz z tą flaszką!" zawołała Anielcia, „jak pani śmiesz dawać dziecku wódkę! To trucizna dla takiego maleństwa. Doniosę policji!"

„No, nie otwieraj pani tak buzi!" zawołała Gilowa, „co za śmiałość! Szkoda, że mnie pani nie nazwała morderczynią! Niech mnie djabli wezmą; widziałam już gdzieś tę twarz! Czekajcie,

— gdzie to było? — Ach, rzeczywiście, wtedy nie mieszkałam w Berlinie! — No, nie przypomina sobie pani?“

„Ja?“ zawołała Anielcia, „zdaje mi się, żem was gdzieś widziała!“

„Tak, przypomnij sobie pani dom warjatów doktora Morizano.“

„Boże!“ rzekła Anielcia i zatoczyła się jak pijana, — „to wy, — Gilowa?“

„Naturalnie!“ odparła wiedźma, zatykając flaszkę korkiem, „wówczas wyratowała panią Gilowa. Lecz niewdzięczność jest zwykłą nagrodą ludzi! Teraz chce mnie pani oczernić w stowarzyszeniu, które odbierze mi dziecko i 15 marek! — Ach, szkoda, żem nie zostawiła pani w domu warjatów, — byłoby lepiej dla mnie!“

Anielcia milczała, serce biło jej młotem. Tak jest, ta kobieta wyratowała ją. Była zobowiązaną do wdzięczności, gdyż tylko z pomocą Gilowej udała się jej wówczas ucieczka.

Lecz, czyż Gilowa wyratowala ją z dobrego serca? — Oh nie, — sprzedała Anielcię Borysowi Slatkinowi. Ah, zimny dreszcz przebiegał jej ciało, gdy wspomniała na ów wieczór.

„Bodaj mnie djabli wzięli,“ krzyczała Gilowa, „jeżeli zapomnę kiedy, to com uczyniła dla pani. Od tego czasu datuje się moje nieszczęście! Wówczas dostałam apopleksję. Pół roku leżałam w szpitalu; gdy mnie wypuszczono, ruszałam ledwie nogami. Z czasem nauczyłam się znowu stać i chodzić. Jeszcze dzisiaj nie odzyskałam dawnych sił. Podczas mojej choroby w szpitalu policja przeszukała całe mieszkanie. Znaleziono różne rzeczy, które wywołały podejrzenie. — Cieszyłam się, że mnie nie zamknięto. — Musiałam uciekać i przybyłam do Berlina. Spodziewałam się znaleźć tutaj zarobek. Mój Boże, w moim wieku —“

„Przestańcie!“ przerwała niecierpliwie Anielcia, — „bądźcie zdrowi, Gilowa! Muszę spełnić mój obowiązek. „Może mi się uda pomóc wam w inny sposób.“

Stara wiedźma szepnęła kilka przekleństw i popłukała gardło wódką.

Anielcia wybiegła pospiesznie na ulicę. Świeże powietrze przyprowadziło ją znowu do równowagi.

Nigdy nie znajdowała się na takiem rozdrożu, nigdy nie powątpiewała jeszcze o swoich obowiązkach i nie namyślała się czy je powinna spełnić. Żal jej było Gilowej. Czuła pewną litość z tą kobietą, która tak ciężko z g r z e s z y ł a w o b e c B o g a. — Lecz wolno jej dlatego zapomnieć o obowiązku? Nie powinna ani godziny zostawić chłopczyka w rękach tej kobiety, której, jako nałogowej pijaczce nie zależało zupełnie na życiu dziecka! Nie! Natychmiast odbierze dziecko.

Anielcia biegła szybko do mieszkania radcy opiekuńczego.

Pan Kolbe zdziwił się bardzo, gdy zobaczył u siebie Anielcię o tej niezwykłej porze. Właśnie jadł ze żoną śniadanie i zaprosił Anielcię do stołu.

„Dziękuję panu,“ odparła Anielcia, „nie mogę przełknąć ani kropli mleka. Widziałam straszną nędzę i pod wpływem tegoż drżę na całem ciele!“



Z okazji zbliżającej się Olimpjady, zostanie otwarta w Berlinie wystawa, na której będzie można zobaczyć także powóz Goethe'go. Powozem tym podróżował zazwyczaj poeta po swym kraju. Do dnia dzisiejszego zachowała się z tego okresu ciekawa fotografja, którą wyżej reprodukujemy. Widzimy na niej Goethe'go, wyruszającego w podróż, żegnanego przez rodzinę.

„Proszę, niech pani siada; kieliszek likieru pomoże na przestrach! — Żono, nalej-no kieliszek.“

Anielcia wypiła likier. Po chwili zwróciła się ku radcy i rzekła:

„Muszę panu zrobić doniesienie, które mi przychodzi z trudnością wypowiedzieć.“

„Wiem,“ zawołał z uśmiechem radca opiekuńczy, „u pani serce i rozum kłócą się ustawicznie. Rozsądek mówi zupełnie słusznie: patrz tym ludziom dobrze na palce, bo inaczej dzieci umrą z głodu. Lecz nieposłuszne serce dodaje cicho: daj pierwszeństwo łasce przed prawem! Panno Anielciu, musimy postępować bezwzględnie! Pod naszą opieką znajdują się biedne bezsilne istoty!“

„Prawda, panie radco opiekuńczy; moje serce robi różne głupstwa. — Tak było dzisiaj. — Przychodzę właśnie od pani Gilowej, której dano na wychowanie jednorocznego chłopaka. — Dziecko znajduje się w niemożliwym stanie. — Leży w pace, — wychudłe, — twarz pokryta woskową cerą! — Kobieta jest nałogową pijaczką i —“

„Do djabła!“ przerwał niechętnie Kolbe i zerwał się ze stołka, „znowu jedna bestja wyprowadziła mnie w pole! — Gilowa przyszła do mnie i skarżyła mmi swoją nędzę. Pomyślałem sobie, że za jednym zamachem ubiję dwie muchy: dziecku dam dobrą matkę, a chorej kobiecie zarobek. Teraz wychodzi na jaw, że to pijaczka! Na pierwszego odbierzemy jej dziecko i wyjaśnimy całą sprawę!“

„Panie Kolbe,“ odparła Anielcia, „nie możemy tak długo czekać, — dziecko umrze do tego czasu. Musimy je natychmiast odebrać od tej kobiety.“

„Łatwo się to mówi, — chwilowo nie wiem o żadnej kobiecie. A zwłaszcza, jeżeli dziecko jest chore. Jak się nazywa ten chłopak?“

„Nie wiem, panie radco opiekuńczy! W liście nie zapisano jego nazwiska.“

„Ciekawa historja z tem dzieckiem! Tak, słusznie, znaleziono je na ławce w poczekalni na dworcu. Widocznie pochodzi z lepszego domu, gdyż na koszulce była przypięta kartka z dziwną treścią. Schowałem tę kartkę.“

Radca opiekuńczy zbliżył się do biurka, otworzył szufladę i przerzucał różne papiery.

„Tak, to owa kartka!“ zawołał. „Kobieta, u której ten chłopak był przedtem na wychowaniu, napisała następujące słowa:

„Nie otrzymuję pieniędzy; — jestem biedną i dlatego nie mogę trzymać u siebie tego chłopca. Kto znajdzie to dziecko i zechce się dowiedzieć o jego nazwisku, musi się zwrócić do właściciela zamku Sokolskich! Na imię dziecku Alfred.“

„Boże! Co się pani stało?“ zawołała nagle pani Kolbe. „Może pani chora? Proszę sobie nalać kieliszek likieru.“

„Dziękuję pani,“ odparła Anielcia, odzyskując powoli równowagę, „już mi lepiej!“

„Dlaczego pani tak zbladła? Nie trzeba zbyt gorliwie spełniać kontroli. Powinna pani podać się o urlop,“ zawołał radca opiekuńczy.

„Dziękuję panu za współczucie; nic mi nie brakuje! Chwilowo dostałam zawrotu głowy. Lecz pomówmy o tem biednem, nieszczęśliwem dziecku! — Nie robił pan żadnych poszukiwań za rodzicami tego chłopca? Wskazano wyraźnie drogę.“

„Sądzę, że mnie pani już dobrze poznała! Napisałem list do właściciela zamku Sokolskich i prosiłem go o wyjaśnienie tajemniczej treści kartki. Po kilku tygodniach otrzymałem odpowiedź. Właścicielem tego zamku jest niejaki baron Sokolski. Napisał mi suchy list i prosił bym go więcej nie trudził podobnemi sprawami. Powiedział, że o niczem nie wie.“

Ciąg dalszy na stronie 519.

Kraina szczerości i naszych trosk

Każdy Czytelnik „Moich Powieści" ma prawo pisać do tego działu

„BRAK NAM JAKIEGOKOLWIEK TOWARZYSTWA"...

„Czytelniczka z pod Grudziądza" i *„Dzikuska z Abisynji"*. Witam Panie serdecznie, życzę powodzenia i dużo przyjemności w korespondencji z Sympatykami oraz przedstawiam Panie naszej „Rodzince" i to za pośrednictwem nadesłanego przez Panie listu:

„Jesteśmy kochające się koleżanki. Mieszkamy na wsi, gdzie brak nam jakiegokolwiek towarzystwa. Dzięki też temu zdecydowałyśmy się napisać do „Krainy". Przedstawiamy się kolejno:

„Czytelniczka z pod Grudziądza" to wysoka blondynka o roześmianych oczach. Pomimo bólu i zawodu, jakiego doznała już w życiu, jest zawsze wesołą, pełną humoru i werwy.

„Dzikuska z Abisynji" to wysoka, sympatyczna dziewczynka o silnie bronzowej buzi i czarnych, błyszczących oczach; stanowi typ Rumunki.

Obydwie lubimy szczerość i powagę. Przepadamy za jazdą rowerem. Przesyłamy pozdrowienia „Zaczarowanej Cyganeczce" i zarazem zapytujemy ją czy była już w Starogardzie?

„Pięknej Cyganeczce" przesyłamy mocnego buziaka. Kiedy znowu się spotkamy razem? Przesyłamy Ci również, „Cyganeczko", pozdrowienia.

Pozatem ślemy pozdrowienia: „Szaremu Człowiekowi" — „Jastrzębowi z borów tucholskich" — „Indjaninowi" — „Stachowi z pniewskich błot" — „Leszkowi z Zielonej Doliny" — „Adamowi z Raju" — „Majowemu Chrabąszczowi" i „Kaktusowi". Kto z wymienionych osób napisze do nas?

CZAS JUŻ...

„Smutna Indjanka". Nareszcie i Pani doczekała się swojej odpowiedzi. Odpowiedzi, która nie będzie ani „nawracaniem z błędnej drogi", ani „reprymendą", tylko gorącą zachętą do wytrwania w postanowieniu.

„Postanowiłam porzucić wszystkie melancholijne refleksje i pragnę się radować pięknem życia" — pisze Pani, trzymam więc Panią za słowo! Czas już najwyższy zapomnieć o tem, co było i minęło i uśmiechnąć się na nowo do życia. Przez dłuższy czas kierowała się Pani nieufnością względem ludzi, pesymistycznie patrzyła na świat i pogrążała się ustawicznie w smutnych refleksjach, pora więc, aby Pani z tem wszystkiem wzięła już rozbrat. Życie jest krótkie, a każda chwilka w niem zbyt cenna, by ją wykorzystać na łzy i smutek. O tem, proszę, niech Pani pamięta i bierze życie takiem, jakiem jest i smuteczków swoich nigdy nie wyolbrzymia, tylko zawsze je pomniejsza. Czy dobrze, „Smutna Indjanko"? Czy nie sprzeniewierzysz się swoim postanowieniom? Wiem, że z początku trudno będzie ci się przełamać, ale silna wola w tym wypadku wiele zdziała. Życzę zatem jeszcze raz wytrwania i jak najmilej pozdrawiam! Dopisek z listu zamieszczam:

„Dziękuję ślicznie p. Tośkowi z Trzcinicy za przesłany mi upominek, który stanowić będzie dla mnie miłą pamiątkę. Pozatem serdecznie dziękuję za przesłane mi pozdrowienia „Carmenicie" i „Wilkowi Morskiemu". Powyższym Sympatykom przesyłam również moc pozdrowień i uścisk dłoni".

NIE ZAPOMINAM

„An-Ka". Z zasady nie uwzględniam prośby w rodzaju Pańskiej, ale dzisiaj wyjątkowo czynię jej zadość. Życzę Panu dużo przyjemności i dużo wrażeń w nowem środowisku, a także dalszego powodzenia w korespondencji. Nie zapominam również w imieniu Pana, pozdrowić serdecznie: „Czarnobrewą Igę" — „Dzinkę" — „Duśkę" — „Izys" i „Izarys".

„BRAK MI TYLKO BRATNIEJ DUSZY"...

„L'amitié — la confiance". W Kartuzach nigdy jeszcze nie byłam, to też ucieszę się bardzo, gdy przyśle mi Pani kilka szczegółów o tem mieście. Dziękuję Pani za serdeczne pozdrowienia, które odzajemniam w pełni. Liścik Pani zamieszczam niżej:

„Mieszkam w ślicznej miejscowości, położonej między lasami, górami, łąkami i jeziorami. Kocham muzykę, sport, a najwięcej przyrodę. Jestem ciemno-blondynką o niebieskich oczach, średniego wzrostu. Narazie tyle o mnie! Jeżeli który z Sympatyków pragnąłby bliżej mnie poznać, niech napisze do mnie. Moc pozdrowień zasyłam dla tych wszystkich, którzy odpowiedzą na moją prośbę i apel, którzy zwrócą się do mnie życzliwie i serdecznie.

Dotychczas powodziło mi się w życiu dobrze, a i teraz nic mi do szczęścia nie brakuje jedynie... bratniej duszy, przed którą mogłabym się szczerze wypowiedzieć. Osoby takiej, godnej zaufania, nie napotkałam jeszcze, może więc teraz znajdę ją w naszej „Rodzince"? Do „Krainy" należy tyle osób o różnych charakterach i zapatrywaniach, więc sądzę, że będzie można w niej znaleźć pokrewną duszę. Coś mi szepce w głębi duszy, że nie mylę się, że naprawdę znajdzie się ktoś, kto mnie choć trochę polubi i poświęci mi odrobinę czasu. Ta myśl napawa mnie słodką radością i umila mi życie.

Wszelkie listy proszę kierować na: poste restante, Kartuzy, „L'amitié — la confiance".

WYSTARCZY NAJZUPEŁNIEJ

„Kusząca Różyczka". Po tylu, tylu długich miesiącach, napisała Pani znowu do mnie. Usprawiedliwia się Pani w liście, tłumaczy z dotychczasowego milczenia i prosi o przebaczenie! Kochana „Różyczko", wystarczy mi najzupełniej, że nie zapominałaś o mnie, że nieraz myślałaś o „Krainie", a dzisiaj spowrotem do nas wracasz. Rozgrzeszać Cię nie mam z czego, Dziewczynko Droga! Witam Cię znowu serdecznie, po paru miesiącach przerwy korespondencyjnej i dzielę się wiadomościami z Twego listu z wszystkimi Sympatykami:

„Przez pół roku przebywałam w Toruniu i tak byłam tam zajętą, że nie mogłam nawet kilku słów przesłać do „Krainy". Obecnie pędzę życie znowu na wsi, gdzie brak zupełnie jakichkolwiek rozrywek i odpowiedniego towarzystwa, więc tęsknię trochę za miastem.

Chciałabym, za pośrednictwem p. Zofji, poznać jakąś bratnią duszę, w postaci kochanej panienki, któraby z prawdziwą przyjemnością napisała mi szczery liścik. Odpowiedź przyrzekam szybką.

Przedstawiałam się przed rokiem, ale od tego czasu już dużo wody upłynęło, więc jeszcze raz podaję swój rysopis:

18 letnia szatynka o niebieskich oczach i długich czarnych rzęsach. Pomorzanka z krwi i kości. Miłośniczka muzyki, tańca i śpiewu.

Na zakończenie pozdrawiam miło „Łobuza z nad Drwęcy" — „Nimfę" — „Pazia" — „Pellę" i p. G. Bogdańską z Chojna.

„Nimfie" donoszę, że jestem już w Zgniłobłotach i proszę ją o list.

Od „Łobuza z nad Drwęcy" spodziewam się także listu."

PIERWSZY ODZEW NA APEL „DUŚKI"

„Irek" przesyła kilka słów odpowiedzi na apel „Duśki", dotyczący wypożyczenia książek:

„W jednym z ostatnich numerów „Moich Powieści" wyczytałem, że jedna z Sympatyczek „Krainy", chciałaby wypożyczyć kilka książek. Z przyjemnością więc jej donoszę, że posiadam książkę pod tyt.: „Hrabia Monte Christo" i chętnie ją wypożyczę. Proszę więc p. „Duśkę" o podanie adresu, abym wiedział dokąd powieść przekazać".

„MARZENIA ŚCIĘTEJ GŁOWY"...

„Idealistka" i *„Śmieszka z Pomorza"*. „Wstąpić do filmu"! — to marzenie wielu młodych i pięknych dziewcząteк. Istotki te emocjonuje i przyprowadza o egzaltację każdy film. Kochają się na zabój w pięknych amantach filmowych i z zapartym tchem śledzą na ekranie każdy ruch Grety Garbo lub „Marleny Dietrich". „Być boską Gretą lub Marleną!!!" — pragnienie podobne zaprząta niejedną dziewczęcą główkę i nie daje spać... Rozszerzone oczęta wpatrują się w cuda ekranu i urzeczone jego zwodniczemi blaskami marzą o karjerze filmowej. Nie myślą o tem, że tam, poza kulisami ekranu, są także cienie, że artystką zostać jest bardzo, bardzo trudno, że nie wystarcza do tego tylko uroda, ale i wielki talent i wykształcenie i duża inteligencja.

A skąd wziąć te wszystkie zalety, gdy posiada się tylko urodę, dobre imię i główkę pełną marzeń? O, jakże trudno poczynić choć jeden krok naprzód na drodze, którą doszły do szczytu sławy Marlena i Greta. Długo jeszcze ściska się boleśnie małe serduszko, aż nadchodzi chwila, że marzenia o filmie tracą na uroku. Coś innego, ważniejszego, niż artystyczna karjera, zaczyna absorbować młode kobietki i zaczynają same śmiać się z swoich pensjonarskich zapałów i „marzeń ściętej głowy" — wyzbywają się raz na zawsze myśli o wstąpieniu do filmu.

Zamiast adresu szkół filmowych, przesyłam Wam, Miłe Dziewczynki, powyżej skreślone słowa. Sądzę, że zrozumiecie o co mi chodzi? Resztę załatwi Wasz liścik:

„Jesteśmy siostrzyczkami, blondynkami o ciemnych oczach. „Idealistka" kocha wszystko, co piękne — śpiew, muzykę, słońce, kwiaty. Lubi tańczyć, zwłaszcza tango. Młodsza z nas, „Śmieszka", liczy lat 19-cie. Jest bardzo wesołą i żywą. Posiada śliczny głos.

Podobno jesteśmy ładne, ale mniejsza z tem, gdyż piękność zewnętrzna nie świadczy o wartości człowieka, lecz jego zalety i charakter. Jesteśmy Małopolankami. Urodziłyśmy się w białym dworku z widokiem na piękny ogród i długą kasztanową aleję. Główną cechą naszego charakteru jest szczerość i prostota. Żyjemy skromnie i pomagamy Rodzicom w prowadzeniu gospodarstwa, a nawet same hodujemy kwiaty i warzywa. Gorącem naszem pragnieniem jest otrzymać od kogoś liścik."

APEL DO STARSZYCH CZYTELNICZEK I CZYTELNIKÓW

„Nina w średnim wieku". Dopiero dzisiaj przesyłam Pani kilka słów od siebie i moc pozdrowień. Proszę, niech mi Pani daruje, że prędzej nie zamieściłam apelu Pani, ale w ostatnim czasie był taki napływ listów, że musiałam sobie podzielić korespondencje na pewne grupy i odpowiadać kolejno na jeden list po drugim. Chyba nie będzie Pani żywiła do mnie żalu, że tak późno zamieszczam Pani apel?

„Za pośrednictwem p. Zofji przesyłam serdeczne pozdrowienia wszystkim starszym Czytelniczkom i Czytelnikom, a szczególnie smutnym, nieszczęśliwym i samotnym. Równocześnie wzywam chętnych do nawiązania ze mną miłej, pełnej przyjaźni korespondencji. Piszcie więc do mnie bo czekam!"

ODEBRAŁAM

„Czerwony Koral". Pocztówkę Pani odebrałam. Dziękuję za wszystkie wiadomości, a przedewszystkiem za moc uścisków. Kiedy otrzymam od Pani znowu liścik — chyba wkrótce? Ślę Pani miłe pozdrowienia.

Serdeczne uściski dla „Reni" — „Konwalji" i „Pepi w mundurku" — przekazuję!

ZAPOMNIJ!...

„Danko“. Smutny i ogromnie wzruszający był Twój liścik, Kochana „Danko“. Skreśliłaś mi w nim jak najwierniej historję swojej nieszczęśliwej miłości, która mimo wszystko przedstawia się bardzo wzniośle...

Pewnego razu spotkałaś na swej drodze szczęście, a szczęściem tym była wielka i czysta miłość. Pokochałaś całą duszą i byłaś kochaną. Trwało to jednak krótko. Zły los zburzył bowiem Twoje szczęście. Ten, który kochał i szeptał piękne słowa zdradził Cię i odszedł któregoś dnia na zawsze od Ciebie. Nie odwrócił się nawet poza siebie i nie okazał najmniejszego żalu, a pomimo to nie zdołał zabić uczucia, jakie się zrodziło w Twojem serduszku, „Danko“. Mijają dni i miesiące, a to, co wrosło głęboko w duszę, nie da się już z niej wyrwać. Kochasz zawsze wiernie, pomimo, że wiesz, że On nie wróci już do Ciebie. Nie potępiasz Go jednak, przeciwnie, życzysz Mu wszystkiego najlepszego, choć cierpisz z jego powodu i tęsknisz ogromnie...

Wzruszająca jesteś w swoich zwierzeniach, Maleńka „Danko“... Chciałabym wziąć Twoją zmartwioną główkę w swoje dłonie i powiedzieć Ci, że nie warto płakać za kimś, który wzgardził tak wielkiem i czystem uczuciem, jak Twoje. Nie warto tęsknić za tym, który obok piękna uczuć przeszedł obojętnie i nawet na moment się nie odwrócił. Zapomnij, „Danko“! — to jedno, co mogę Ci powiedzieć. Jesteś jeszcze bardzo młodziutką, Dziewczynko i wiem, że napotkasz kiedyś na swej drodze człowieka szlachetniejszego i godniejszego swych uczuć — i wtedy zobaczysz, że nie kochałaś tamtego, że darzyłaś go tylko przelotną, złudną miłością, a nie tak, jak Ci się wydawało stałem uczuciem. Zobaczysz, „Danko“! Otrzyj więc łzy i postanów sobie wyrwać z duszy nierealne tęsknoty. Popatrz trzeźwiej na swoją miłość i zrozum, że ból, za czemś niewdzięcznem i niegodnem bólu, jest bezpodstawny i trzeba go leczyć. Taki ból, choćby miał najszlachetniejsze podłoże, musi być stłumiony. Nie wolno go pielęgnować za żadną cenę, bo wówczas nie byłby już czemś szlachetnem i wzniosłem, ale najpospolitszą chorobą, która dręczy i wyczerpuje organizm.

Tyle na dzisiaj. Napisz do mnie znowu, Smutna Dziewczynko i obdarz mnie całkowitem zaufaniem, a zobaczysz, że będzie Ci lepiej i nawet się nie spostrzeżesz, jak się przeciwstawisz wszystkim rozpaczliwym smutkom. Z dnia na dzień oczekuję na Twój list!...

NIE ROZUMIEM...

„Izys“. Fotografję Pani umieściłam w albumie. Widzę z niej, że jest Pani bardzo ładną i miłą dziewczynką.

Nie rozumiem tylko dlaczego Pani pyta o lekarstwo na ironję i zgryźliwość i zarazem oskarża się o te złe przymioty? Zapewnie wchodzi u Pani w grę tylko zwykłe rozgoryczenie z powodu doznanego zawodu, a nie zgryźliwość. A jeżeliby... rzeczywiście zgryźliwość, to proszę, Droga „Izys“, trzymać się w karbach i panować nad sobą. Oto bardzo prosta recepta i niezawodna! Podałam ją z myślą, że Pani z niej skorzysta. I niech Pani pamięta, że nic tak nie razi u młodej panienki, jak zgryźliwość. Choćby miała najładniejszą buzię, nie ujmię nikogo, posiadając tę wadę.

A teraz żegnaj, Kochana „Izys“ i napisz wkrótce znowu. Zastanów się również na tem, co napisałam wyżej. Dobrze?!!!

„OGROMNA PROŚBA“

„Czarnobrewa Iga“. „Ogromną prośbę“ Pani zapamiętam — w przyszłości uczynię jej zadość.

Droga Pani! I ja mam „ogromną prośbę“ do Pani: chodzi mi o fotografję Pani. Czy mogę się jej spodziewać w następnym liście? Tak bardzo chciałabym zobaczyć Panią choć na zdjęciu. Chciałabym się dowiedzieć, jak wygląda „ktoś“ strasznie miły, który potrafi pisać cudne liściki. Czekam więc z niecierpliwością na przesyłkę i... mocno Panią całuję.

MIŁE POZDROWIENIE I NAWIĄZANIE KORESPONDENCJI

„Stęskniona Irka“ ogromnie chciałaby korespondować z Sympatykami „Krainy“. W tym celu właśnie zwraca się do „Orlicza“, prosząc go o jakiś odzew.

„Stęskniona Irka“ to wysoka, szczupła brunetka o dużych, ciemnych oczach. Z zamiłowaniem uprawia sport — gra świetnie w siatkówkę, strzela do celu i jeździ na rowerze Uwielbia muzykę, kino i teatr.

Bardzo miłe pozdrowienia przesyła: „Orliczowi“ — „Pepi w mundurku“ — „Samotnemu Tulipanowi“ — „Blance“ — „Kunie Leśnej“ — „Stokrotce Polnej“ i „Leśnej Bogince“.

JEŻELI PAN SZUKA BRATNIEJ DUSZY...

„Dzika Cyganka“. List Pani to jeden wielki hymn na cześć lata. Odrazu wyczuwa się, że pisała go osóbka radosna, rozmiłowana w pięknie przyrody i radości życia. Przypomina mi Pani rozszczebiotanego, beztroskiego ptaka, który radby śpiewem swoim umilić drugim życie. Proszę, niech Pani pisze do mnie jak najczęściej! Dopisek oddaję do przedruku:

„Hallo! „Medyku ze Lwowa“! jeżeli Cię choć trochę zainteresowałam, napisz pierwszy, a otrzymasz szybką odpowiedź. „Narcyzowi“ serdecznie dziękuję za miłe pozdrowienia. Jeżeli Pan szuka bratniej duszy, niech Pan zdecyduje się do mnie napisać. „M. Rysi“ dziękuję za pozdrowienia i również ślę Jej moc pozdrowień.“

PRZYJAŹŃ

„Ajfoz“. Zaraz na wstępie dziękuję Pani z głębi duszy za piękne życzenia i słowa uznania. Miło mi bardzo, że wstępuje Pani w szeregi Sympatyków „Krainy“ i ofiaruje nam swoją przyjaźń. Ja pierwsza z niej korzystam i wyciągam do Pani dłoń z tą myślą, że więcej osób pójdzie za moim przykładem i zechce nawiązać z Panią bliższy kontakt. Wszystkim tym, którzy się Panią zainteresują, zdradzę, że jest Pani 22-letnią przystojną brunetką o ładnych, pełnych pogody oczach. Potrafi Pani rozsądnie myśleć i pisać piękne listy. Charakterystyka pociągająca, myślę więc, że znajdzie się ktoś bardzo miły i bardzo dobry i prześle Pani jakiś znak od siebie. Znak, który może będzie początkiem wielkiej i pięknej przyjaźni, o której marzy i którą ogromnie pragnie napotkać w życiu miła „Ajfoz“.

PRZEPRASZAM

„Eros“. Dziękuję Panu za podzielenie się ze mną wrażeniami ze spławu z Koronowa do Bydgoszczy. Może częściej prześle mi Pan podobne listy?

Nagrody wysłaliśmy i jak się już dowiedziałam odebrał je Pan. Książki zostały przekazane nieco później, gdyż współpracowniczka redakcyjna, prowadząca „Chwilę zastanowienia“, bawiła przez pewien czas na wakacjach i nie zleciła wysłać Panu nagród. Przepraszam w jej imieniu, za zwłokę!

Pozdrowienia, przeznaczone dla: „Szarej Dziewczynki z Bydgoszczy“ — „Słodkiej Psyche“ — „Zrozpaczonej Maryli“ — „Tamary“ i „Ryśki M.“ — przekazuję i oczekuję z niecierpliwością na zapowiedzianą przez Pana fotografję.

UWAGA! PANIE Z POZNANIA!

„Poznańczyk“ wolne od zajęć chwile poświęci chętnie młodej i miłej o dobrem serduszku pani z Poznania lub okolicy. Chodzi Mu nietylko o kontakt korespondencyjny, ale i o towarzystwo podczas letnich wycieczek i przejażdżek łodzią.

W OCZEKIWANIU NA PRZYJAŹŃ

„Czarnooka blondynka“ pragnie nawiązać skimś korespondencję, najchętniej z „Dumnym Jeleniem“ — „Ursusem“ lub „Błękitnym Rycerzem“. O sobie pisze:

„Zamieszkuję w białym, samotnym dworku, ukrytym wśród krzewów i drzew — nad brzegami Noteci. Jestem blondynką o czarnych, tajemniczych oczach. Lubię muzykę, śpiew i wesołe towarzystwo. Czuję się bardzo osamotniona. Moimi przyjaciółmi tutaj to fortepian i radjo. Czy mogę się spodziewać nowych przyjaciół, w postaci szczerych i życzliwych listów?

ŻYCZENIE SPEŁNIŁAM

„Gladjola“. Za moc serdecznych uścisków bardzo Pani dziękuję. Życzenie spełniłam. Łączę miłe pozdrowienia!

PODZIĘKOWANIE

„Tereni z szlacheckiego dworku“, *„Ptaszynie z nad morza“* i *„Jótkowi“* przesyłam pozdrowienia i szczere podziękowanie za piękną widokówkę z Gdyni.

DZIĘKUJĘ ZA PAMIĘĆ

„Słodkiemu Serduszku“ jak najserdeczniej dziękuję za okazaną mi pamięć w postaci miłej pocztówki z pozdrowieniami, przesłanej mi ze Zlotu Śpiewaczego w Warszawie.

KIEDY?

„Gorczyca“. Dziękuję za ostatni list. Wszystko załatwiłam w myśl życzeń. Kiedy otrzymam znowu od Pana wiadomości? Serdecznie pozdrawiam.

Teczka Wujka Janusza

„HALLO!“

„Blanka“. Fotografje wspaniałe! Dziękuję! List również bardzo miły, tylko wierszyki mniej udałe. Sądzę, że następne będą lepsze. Do życzenia Pani odnoszę się jak najprzychylniej — zamieszczę wiersz w numerze na 26 lipca br. Życzę przyjemnych wakacji i dużo wrażeń na wsi. Post — scriptum Pani zamieszczam:

„Hallo! Kochane Moje Dziewczynki! „Dumko“ — „Mała Mery“ — „Biała Uajali“ i „Szara Dziewczynko“ z Bydgoszczy, nie gniewajcie się na mnie za moje długie milczenie. Myślę o Was często i odpowiedź dam, lecz proszę o trochę cierpliwości, gdyż w lipcu mnie w domu nie będzie“. Całuję Was i pozdrawiam. —

„Nieznany“. Spowodu ode mnie niezależnego, zadzierzgnięta nić korespondencyjna została zerwaną. Pan mnie rozumie? Dziękuję raz jeszcze za serdeczne słowa i pozdrawiając mile, żegnam. *„Blanka“*.

WIERSZY NIE ZAMIESZCZAM

„M. Rysia“. Załączony list doręczyłem p. Zofji. Pomimo dania mi słowa honoru, że wiersze nadesłane z listem są Pani utworami nie zamieszczam ich. Dlaczego? Może zjawi się Pani osobiście w redakcji, a wyjaśnię. Za pozdrowienia dziękuję i w pełni je odwzajemniam.

NIERAZ...

„Stella Maris“. Z każdym nowym listem staje mi się Pani droższą. Może dlatego, że w słowach Pani jest bardzo dużo serca i kobiecej delikatności. Nieraz, gdy słucham Chopina, przypomina mi się Pani... Wiem, że to jeden z ulubionych Pani kompozytorów, często mi Pani o nim pisze. Sam również gram chętnie jego utwory. Wpłynęły na to wszystko w dużej mierze oczywiście Pani listy, które są czarujące i treści których, nie zapomina się tak szybko. Żegnam Panią i czekam na nowe wiadomości.

DZIĘKUJĘ!

„Lawrence“. Uprzejmie dziękuję Panu za pamięć. Ślę przyjacielski uścisk dłoni!

Raj kobiet

Jak ubrać dzieci?

Jak ubrać dzieci, aby wyglądały ładnie? Na ulicę można i chłopca i dziewczynkę (oczywiście w wieku lat 2—4) ubrać zupełnie jednakowo. Najładniej, ale najniepraktyczniej — biało.

A więc białe pajacyki, buciki, kapelusiki, sukienki ubranka. Dzieci wyglądają ślicznie w tym kolorze,



Ponieważ jednak, jak już zaznaczyłam biały komplet jest bardzo niepraktyczny, możemy dzieci ubrać w taki sam, tylko w innym, praktyczniejszym kolorze, jak szary, beige, jasno-bronzowy, itp. Dziewczynki jest bardzo łatwo ubrać, gdyż można przerobić każdą „dorosłą" sukienkę, oczywiście tylko nie czarną. Najlepiej jednak, aby taka mała panienka nosiła jasne kolory. Takie ładne trykotażowe sukieneczki w pastelowych tonach można dostać w sklepach z konfekcją dziecięcą. We włosach wiążemy ogromną kokardę — motyla w kolorze sukienki. Pończoszki białe. I ładny biały lub kolorowy fartuszek — wygląda miło, a chroni sukienkę.

Chłopca najładniej ubierzemy, jeśli zrobimy mu granatowe welurowe spodenki, koniecznie krótkie i białą lub kolorową bluzę. Można też ubrać go na szaro, ale wtedy trzeba zrobić rodzaj marynarki sportowej. Biały kołnierzyk i duża kokarda (zamiast krawata) dopełnią całości. Młody człowiek będzie się prezentował bardzo szykownie. Nie pozwalamy dzieciom nosić pantofli, tylko buciki. oczywiście wygodne i zasznurowane niezbyt ciasno. Zapobiegają one rozszerzeniu się kostki a przecież zależy nam na tem, by nasze dzieci (zwłaszcza dziewczynki) miały zgrabne nóżki.

Jak ubrać dzieci? Pole do popisu wielkie. Zawsze tylko powinny pamiętać mamusie, aby ubranka ich pociech, były niekrępujące i by cechowała je jak największa prostota.

Obchodźmy się bez rzeczy niepotrzebnych, które utrudniają nam tylko życie

Gdy robimy przegląd tego, co posiadamy, by usunąć z domu stare rupiecie, okazuje się dopiero, ile to rzeczy uważamy za niezbędne do użycia, lub przynajmniej za „mogące się przydać". Tyle jest zwykle szaf, komód, kufrów, skrytek w domu rodzinnym, a wszystkie pełne „rzeczy potrzebnych".

Gdy jednak zdarzy nam się wyjechać z domu, nawet na czas dłuższy, zabieramy ze sobą do walizki setną część tego wszystkiego. Żyjemy z tem czasami nawet kilka miesięcy i nie wzdychamy jakoś do tych „potrzebnych" nam rzeczy, które zostawiliśmy za sobą. Przeciwnie: czujemy się jacyś swobodniejsi młodsi, bardziej sprawni i niezależni.

Pewna bardzo zamożna osoba, zapytana w podróży o to, czemu nie robi po drodze sprawunków, nie zbiera pamiątek, nie kupuje owych rozlicznych rzeczy „tańszych niż u nas", od których pęcznieją walizki, odpowiedziała:

— Bo nie lubię mieć dużo rzeczy.

— To prawda w podróży nadmiar krępuje — zgodziła się pytająca.

— Nietylko w podróży; to krępuje w życiu, odparła tamta.

Dziś życie samo oducza nas od kupowania rzeczy zbędnych, skoro na niezbędne brak nam środków. Ale nie wystarcza niewprowadzanie nowych komplikacyj; trzeba usunąć istniejące.

Poco przechowywać mamy nadal rzeczy wyszłe z użycia, których wątpliwa przydatność w przyszłości nie okupi kłopotu ich konserwacji?

Poco ów nadmiar serwetek, obrazków, makatek, doniczek, poduszek, ramek z fotografjami, któremi — niezawsze gustownie — „ozdabiamy" nasze wnętrza.

Nieużywaną starzyznę i graty podarujmy, jeśli komu innemu może to być potrzebne, lub sprzedajmy choćby za grosze; cenniejszą od ich posiadania jest swoboda, przestrzeń i zmniejszenie roboty naszej lub służby.

W pokoju zostawmy ozdób niewiele, lecz niech one będą piękne choć niekoniecznie kosztowne) — czy to będzie kwiat, czy obraz lub reprodukcja, czy makata. Umiar w przybraniu pokoju nie ujmie mu wdzięku, przeciwnie: uczyni go bardziej wykwintnym i harmonijnym. Pamiętajmy, że prawdziwie dystyngowana elegantka nie przeładowuje toalety zbytkiem skomplikowania i biżuteryj. Woli wystąpić bez żadnej ozdoby, niż z ozdobą niegustowną.

Plagi codzienne, których łatwo się można pozbyć

Plagą naszych mieszkań, częstszą niż się o tem mówi, jest pluskwa.

A pluskwa jest pasożytem niezmiernie trudnym do tępienia. Raz zakorzeniona często się utaja lecz nie zanika.

Najtragiczniejszą rzeczą jest, gdy w mieszkaniach całkowicie odnowionych nagle wychodzą z pod świeżych tapet pluskwy. Zdarza się to nawet wtedy, gdy ściany uprzednio skrobano, miejsca bardziej zanieczyszczone zmywano roztworem kwasu solnego, a do świeżej farby klejowej dodano kilka procent sublimatu. Wtedy jedynym ratunkiem jest posiłkowanie się gazami. I tu doskonałym nabytkiem jest tak zw. „świeca", preparat chemiczny, który się spala w ciągu czterech godzin, przez 10 godzin pokój uszczelniony wypełnia gryzący dym, który po 24 godzinach znika, nie pozostawiając żadnych śladów spustoszenia, prócz kompletnego zaniku pluskiew i wszelkiego innego (o ile jest) robactwa.

Na drugi dzień i przez szereg następnych wywietrzyć dokładnie. W tym wypadku pluskwy nie wracają. Gdy pragniemy z robactwa oczyścić jakiś poszczególny sprzęt, to posługiwanie się substancjami żrącemi lub gazami nie ma zastosowania. W tych razach znakomitym środkiem dezynfekcyjnym jest kilkakrotnie aplikowana benzyna. Ostrą szczotką ryżową, zmywamy miejsca zanieczyszczone. Po należytem wysychnięciu, natryskujemy dany przedmiot z rozpylacza francuską terpentyną, która idealnie neutralizuje przykry i duszący zapach benzyny. Ten sposób odczyszczania, stosowany kilkakrotnie, doprowadza najbardziej zanieczyszczone obrazy, meble czy inne przedmioty do idealnej czystości.

Pchły są plagą zbiorowisk ludzkich w miesiące upalne. Poza przestrzeganą czystością osobistą i czystością naszych mieszkań jesteśmy narażeni na inwazję pchlną, rozsiewaną przez zwierzęta. A nasza ingerencja, w utrzymywaniu tych ostatnich we właściwej czystości, nie zawsze jest możliwa. Musimy więc myśleć o własnej obronie. Doskonałem przeciwdziałaniem jest smarowanie podeszew lizolem, gdyż pchły zapachu tego nie cierpią. Drugim środkiem jest natarcie łydek przed włożeniem pończoch amonjakiem, a potem terpentyną. Nie każda jednak skóra przyjmie ten zabieg obojętnie. Dlatego też dobrze wiedzieć, że pchły nie znoszą zapachu i soku cytryny, a przecież sok ten dla skóry ludzkiej jest prawie kosmetykiem.

Ze świata

Co 55 minut rozwód

Manja rozwodowa opanowała dziś cały świat. Rekord jak zwykle we wszystkiem bije Ameryka.

Okazuje się mianowicie, że w powiecie Cook zdarza się jeden rozwód co 55 minut. Ta niesłychana liczba systematycznie rozbijanych rodzin zwróciła uwagę władz państwowych, z tej bowiem racji zostało około 6.000 dzieci bez ojców lub matek. Olbrzymia część rozwiedzionych małżonków była na szczęście bezdzietna.

Jeżeli chodzi o przyczyny, dla których poczęte zostały kroki rozwodowe, najczęstszą przyczyną było okrutne obchodzenie się z żonami.

W wielu wypadkach przyczyną rozwodu było systematyczne pijaństwo mężów, a w wielu wypadkach — podano jako przyczynę niewierność jednej ze stron. Statystyka wykazuje, że rozwodzą się głównie rodowici Amerykanie, na drugim miejscu są Niemcy, dalej żydzi, Anglicy i Polacy.

Róża rośnie w ręku

W tych dniach odbyło się posiedzenie klubu magików na którem popisywała się młoda czarnoksiężniczka. Robetty Byron z Filadelfji. Kunszt jej wzbudził najwyższy podziw w audytorjum, a co więcej mimo, że wszyscy biorący udział w seansie z długiej praktyki własnej znają wszystkie najprzemyślniejsze triki tego rodzaju — nie mogli zupełnie odgadnąć, w jaki sposób Roberta Byron dochodzi do swych zdumiewających rezultatów.

M. in. dziewczynka zaprezentowała obecnym wazon napełniony zwykłą ziemią kompostową. Wszycy mieli w rękach wazon i kontrolowali dokładnie jego zawartość. Następnie wzięła go do ręki dziewczynka i po kilku magicznych poruszeniach rąk i zaklęciach, z wazonu wyrósł w oczach widzów wspaniały na metr wysoki krzak różany, pokryty bujnem kwieciem. Inny eksperyment polegał na tem, że na zapowiedź dziewczynki obecni znajdowali w kieszeniach kule bilardowe, papierośnice i inne przedmioty, których tam przedtem nie było. Na nowe skinienie czarodziejki przedmioty te znikały w tak zagadkowy sposób, w jaki się przedtem ukazały.

Radjo w Muzeum Belwederskiem

Pałacyk mieszkalny Pierwszego Marszałka Polski Józefa Piłsudskiego został zamieniony na muzeum i otwarty dla zwiedzającej publiczności. Popod białemi kolumnami, przez znane tak dobrze, oszklone wejście, dostajemy się do hallu belwederskiego pałacu. Naprzeciw wejścia zamarli w bezruchu na straży schodów, dwaj, zakuci w zbroję rycerze. Bielejące na prawo drzwi wiodą do amfilady sal, które w swoich ścianach gościły Marszałka.

Przez pierwszą poczekalnię wchodzimy do Sali Audjencyjnej. Stąd, jedyny raz w życiu, 11 listopada 1926 roku przemawiał przez Radjo Marszałek.

Za wielkim stołem, zielonym murem stawali najsokie krzesło z poręczami, na którem On siedział bawiąc się z córeczkami. Na zawalonym teraz albumami stole, w tym miejscu, gdzie teraz leży pierwszy dyplom obywatelstwa honorowego dla „brygadjera Piłsudskiego" przez miasto Nowy Sącz wydany, stał mikrofon.

Za wielkim stołem, zielonym murem stanęli najbliżsi Marszałka współpracownicy: podpułkownik Beck płk. Maleszewski, płk. Wenda oraz przedstawiciele Polskiego Radja.

Marszałek był w świetnym humorze i żartując wesoło z córeczkami, opowiadał im bajki, które dzięki mikrofonowi wysłuchali wszyscy, jak Polska długa i szeroka.

Dziwna cierpliwość krawca

Węgierski krawiec, nazwiskiem Czaky, zadał sobie niezwykłego trudu. Postanowił on bowiem obliczyć ile ściegów igły wymaga zrobienie jednego garnituru męskiego. Praca ta pochłonęła mu 14 dni, lecz rezultat został osiągnięty. Krawiec zrobił 74.392 ściegów. Był to garnitur na średniego wzrostu mężczyznę. Musi się podkreślić również i ten fakt, że połowę tej wymienionej liczby ściegów wykonał Czaku ręką. Marynarka miała o 2000 ściegów więcej od maszynowych, natomiast spodnie i kamizelka liczyły więcej ściegów maszynowych niż ręcznych. Czaky chciał koniecznie udowodnić, że krawiec nie musi znać się na mechanicznych urządzeniach, czy też używać maszyny, wystarczy tylko mieć zgrabną i przeszkoloną rękę.

I o tem warto wiedzieć

Monoteistów t. j. wierzących w jednego Boga, jest na świecie 933 miljonów. Wśród nich chrześcijan 710 miljonów, żydów 13.2 milj. i mahometan 220 miljonów.

Chrześcijanie dzielą się na rzymskich katolików, których jest 340 miljonów, ewangelików 230 milj, prawosławnych 130 milj., i innych chrześcijan około 10 miljonów.

Poteistów t. j. wierzących w wielu bogów jest 888 miljonów.

Z tego: właściwi poganie — fetyszyści, którzy wierzą, że przy pomocy czarów można nadać przedmiotom siłę chronienia przed nieszczęściem, licząc 27 miljonów wyznawców.

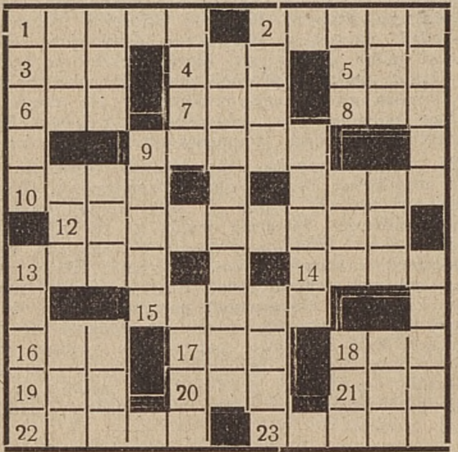
Braminiści (główni bogowie: Brahma, Wisznu, Sziwa) — 240 miljonów.

Buddyści (wyznawcy Buddy, którzy wierzą, że przez wędrówkę duszy dąży człowiek do stanu niebytu i wiecznego spokoju w nirwanie) mają 580 miljonów wyznawców.

CHWILA ZASTANOWIENIA

MAGIREKONSTRUKCJA

ul. F. Gałecki — Głowno



W rzędach poziomych powstawiać wyrazy o podanem niżej znaczeniu, a otrzymamy i w rzędach pionowych identyczne wyrazy.

1. Część ciała, 2. Imię żeńskie, 3. Pierwiastek promieniotwórczy, 4. Okres czasu, 5. Ceglana budowla, 6. Rodzaj wiersza, 7. Kawał lodu, 8. Imię żeńskie, niem. (zdrobniałe), 9. Drzewo egzotyczne, 10. Łódź biblijna, 11. Skrzynka pieniężna, 12. Nazwisko postaci z historji francuskiej, 13. Roślina (wsp. licz. mnoga), 14. Naczynie z prochami, 15. Święte miasto w Abisynji, 16. Imię żeńskie, niem. (zdrobniałe). 17. Miara ziemi, 18. Zwierzę domowe, 19. Zero, 20. Rzeka w Polsce, 21. Wytwórnia foto-chemiczna w Poznaniu (wspak), 22. Miejsce pokazów w cyrku, 23. Imię męskie (żargon wiejski).

ŁAMIGŁÓWKA IMIENNA

ul. „Eros"

. . . . × . .
. . . × . . .
. . × . . . . Wpisać poziomo 9
. × . . . . . . imion męskich i żeńskich
. . × . . . . . — litery oznaczone krzy-
. . . . × . . żykami dadzą rozwią-
. . . . × . . zanie.
. . . . . . × .
. . . . ×

Za rozwiązanie powyższych zadań redakcja wyznacza nagrodę w postaci książek. Rozwiązania należy nadsyłać do piątku, 24 lipca br.

Rozwiązanie zadań z numeru 27 „Moich Powieści": Arytmograf: *„Abonuj i polecaj znajomym swoim tygodnik — „Moje Powieści"*. Figielek: *Białowieża, Białystok, Międzychód*. Żarcik: *Wierzy-ciele*.

Trafne rozwiązania nadesłali pp.: „Eros", W. Grabowski — Pińsk, Andrzej Gawaczewicz — Gdynia, Anna Piotrowska — Łódź, Marjan Kolla — Emiljanowo, Łukasz Orpiszewski — Turka, Piotr Wańkowicz — Płock, Aleksandra Blokówna — Poznań.

Nagrody w drodze losowania przypadły pp.: Annie Piotrowskiej z Łodzi i Piotrowi Wańkowiczowi z Płocka.

Trzy życzenia

(Nowela)

— Gdy w dawnych czasach powodziło się dwojgu ludziom tak okropnie, jak nam teraz, — rzekła Ola, westchnąwszy uprzednio z przekonaniem — pojawiała im się wtedy, w oświetleniu ogni bengalskich, dobra wróżka i pozwalała im wreszcie wypowiedzieć trzy życzenia.

Andrzej przerwał swą beznadziejną wędrówkę wzdłuż esów-floresów dywana i zatrzymał się przed swoją żoną: — Cóż z tego? Jaki był efekt końcowy tego zjawiska? Zawsze okazywało się, iż poczciwcy nie mieli potem ani na jotę więcej, niż przed temi czarodziejskiemi życzeniami! — Był w humorze zdecydowanie złym. — Wróżki nawet wtedy blagowały!

— Andrzej ma słuszność — dodał z kąta na sofie Stefan, zajęty nabijaniem cybucha swojej fajki. Trzeba wiedzieć, że Stefan jest sublokatorem w tym domu; teraz wyda się każdemu słuszne jego postępowanie: kolejno przyznaje rację to mężowi, to żonie, biorąc jednocześnie udział we wszystkich dyskusjach małżeńskich.

— Nie rozumiecie mądrości, zawartej w bajce, moi drodzy — ciągnęła Ola. — Bajki są bardziej realistyczne, niż się o tem sądzi. Trzy życzenia zostały zmarnowane tylko z tego powodu, że kobieta była głupią gęsią i nie wiedziała, czego sobie życzyć należy.

(Na szczęście nigdy nie zdradzę czytelnikom tego, co w tej chwili jej mąż mruknął do siebie).

Lecz Stefan rzekł: — Teraz znów Ola ma słuszność.

A ona: — Ach, gdybym to ja miała trzy życzenia do swojej dyspozycji! Kobieta mądra, kobieta, rozumiejąca wartość życia, kobieta, która zna dobrze swego męża i siebie — w tem miejscu Andrzej odwrócił się ku ścianie, zdawał się być bardzo zajęty widokiem przez okno — taka kobieta świat zbudować może, gdy jej się da możność spełnienia trzech wymarzonych pragnień!

Andrzej przypomniał sobie nagle:

— A gdyby mój wydawca, ten łotr, bez sumienia! przysłałby teraz te nędzne trzysta złotych, które mi jeszcze przed rokiem obiecał!

— Andrzeju! Kochany! — zawołała Ola. — Nie wspominałeś mi nigdy o tych pieniądzach! Ach, życzę sobie teraz, aby zjawił się tu listonosz z pieniędzmi....

W tej chwili odezwał się dzwonek u drzwi wejściowych. Nie był to żaden niezwykły, sensacyjny dźwięk; nie brzmiał ani mile, ani zatrważająco; to był (przysięgam!) tylko ów zwykły, trywialny dzwonek codzienności, który odzywa się wówczas, kiedy palec człowieka, stojącego w sieni, naciska biały guzik, umocowany obok karty wizytowej. Pomimo tego, wszystkie trzy osoby zadrgały; sublokator nieco mniej, niż jego przyjaciele. Wreszcie Andrzej z miną człowieka, nie poddającego się iluzjom, lecz przeciwnie — gotowy jest przeciwstawić się im, zdecydował się podejść do drzwi, otworzyć je i wyjść do przedpokoju.

— Ola! — zawołał natychmiast. — Wiesz, kto przyszedł? Naprawdę!

— Kto?

— Jakże kto! Kto?

— Listonosz z pieniędzmi?

W tem miejscu Andrzej rozwarł drzwi na oścież. To był nowy listonosz, nie ten zwykły, nie ten ukochany, wytęskniony, lecz miał tę samą jowialną postać i tą samą czarną, budzącą zachwyt, zatłuszczoną torbę u boku; w tenże sposób nieco wyniosły, a zarazem przyjacielski, wyrzekł swoje sakramentalne: — Dzień dobry! — Tak, to był listonosz z pieniędzmi.

Tymczasem Ola wyrównała obrus na stole — gest, który się czyni z przyzwyczajenia w tych wypadkach: banknoty, gdy tak leżą obok siebie, nie powinny być fałdą przyciśnięte!

— Co takiego? — krzyknął Andrzej, który trzymał przekaz pocztowy w ręku. — Tylko dwadzieścia dwa złote i pięćdziesiąt groszy?

— Dwadzieścia dwa złote, pięćdziesiąt — odpowiedział rzeczowo człowiek z torbą.

— To przecież niemożliwe!

— Tak! Nie mogę przecież tego odmienić... Jeżeliby to odemnie zależało, przyniósłbym panu chętnie miljon...

Ta odpowiedź wywołała taki atak wściekłości u Andrzeja, że niewtajemniczony sądziłby, iż to pociągnie za sobą jakiś szał morderczy, jednak wrodzona mu skromność zwyciężyła; podszedł tylko do okna i zaczął po szybie bębnić w tempie najszybszego fox-trott'a. Przedtem jednak odrzucił na stół przekaz. Był to jeden tylko gest, zato pełen majestatu; był on też przyczyną tego, iż Ola wreszcie straciła cierpliwość.

— Jesteś niezadowolny, prawda? Chciałbyś, żeby ci skarbiec Banku Państwa do domu przywieźć? Za twoje gryzmoły, które każda redakcja rzuca do kosza! Grosza niema przy duszy, chleb nigdy masła nie ogląda, dochody, jak żebrak, ale ambicja książęca!

— Ola! wypraszam sobie podobne...

— Ach, dosyć mam tej męczeńskiej miny! Jedno ci tylko powiem: Gdyby Stefan otrzymał te dwadzieścia dwa złote, byłby napewno w siódmem niebie! Życzyłabym sobie, żeby *on* je miał, a nie ty!

— Tak... Któż więc z obydwóch panów jest Stefan Rawicz? — zapytał w tejże chwili listonosz.

Z kącika na sofie ktoś sprężystym skokiem znalazł się na środku pokoju w pełnem świetle lampy:

— Stefan Rawicz? To właśnie ja!

— Oh, przepraszam... Te pieniądze są właśnie dla pana.

Nie, nie mogłoby być wątpliwości. Drugie życzenie zmaterjalizowało się w tym momencie (sądzę, iż tak wyrazić się o tem trzeba!). Cud rzeczywiście! W przeciwieństwie do cudów starożytnych — ten był drukowany, stemplowany, czarno na brunatnym papierze. Można więc zrozumieć, co przez chwilę czuli Andrzej i Ola, gdy się drzwi zatrzasnęły za przewrotnym wysłańcem szczęścia. Ocknęli się dopiero ze zdziwienia wtedy, gdy ich zirytował maślano-słodki uśmiech Stefana, pieszczącego swoje dwadzieścia dwa złote i pięćdziesiąt groszy. Czynił to w sposób następujący: najpierw obejrzał uważnie jedną stronę dwudziestozłotówki, potem przyjrzał się odwrotnej stronie, wreszcie pieczołowicie złożył ją na połowę i ulokował w portfelu, który schował do wewnętrznej kieszeni w marynarce. Potem ujął dwa złote, ważył je w ręce i zdeponował w portmonetce, przytem usta jego, widocznie w jakimś błogim przedsmaku, ułożyły się w anielski uśmiech. Co się tyczy wreszcie pięćdziesięciogroszówki — tutaj Andrzej już nie wytrzymał.

— Oto naco się zdają babskie, ordynarne wymysły! — krzyknął. — Gada, gada, jak najęta i człowiek głowę traci!

— To do ciebie podobne — odcięła się odrazu Ola — gniewa się na mnie teraz, bo zazdrości Stefanowi!

— Teraz Ola nie jest bez słuszności — odrzekł delikatnie Stefan, przyczem uczynił ruch zręczny, a pięćdziesięciogroszówka zniknęła w kieszeni. Sięgnął więc znów po swoją fajkę.

— Aha, rozumiem! Jeszcze stajesz po jej stronie! Oczywiście! Ach, pal was sześć! Pójdę sobie stąd!

I drzwi zapadły z trzaskiem za uciekającym. Chwila nasłuchiwania.

— Tak, — rzekła wreszcie Ola. — Pozbyliśmy się go, przynajmniej na parę godzin. — I uśmiechnęła się nieskrępowana i odmieniona.

Potem podbiegła do Stefana; oparła głowę na jego piersi, uniosła się na palcach, pocałowała go w usta z ową lekką, upajającą, niewidzialną prawie, a obecną kokieterją, którą tak w swojej osobie ceniła, wreszcie przycisnęła dłoń do portfela, rysującego się wyraźnie przez marynarkę.

— A mój naszyjnik, kochanie?

— Naszyjnik!... — uśmiechnął się lekceważąco Stefan. — Teraz, gdy mam tylko dwadzieścia dwa, pięćdziesiąt....

— Obiecałeś mi go przecież!

— Oczywiście... Przyrzekłem. Ale przecież nie wtedy, gdy mam... zastanów się... tylko dwadzieścia dwa złote. — Uwolnił się trochę z jej uścisku, by móc pociągnąć z fajki.

— Tak! Uważasz więc, że jestem wymagająca, co? Kosztuję cię zbyt dużo, co? Ani grosza dotąd na mnie jeszcze nie wydałeś! A teraz, gdy nareszcie, nareszcie pozwalam sobie o coś cię prosić...

— Ależ najdroższa, musisz być rozsądna! Mam przecież tylko te dwadzieścia dwa...

— Co takiego? Daj mi spokój z twoimi grubiańskiemi wymówkami! Ciągle to samo! Umiem już to napamięć!

Tu przystąpiła doń blisko ze wzrokiem, ciskającym błyskawice i gromy.

— Poznaj inne kobiety! Tak, tego ci życzę! Życzę ci, ażebyś raz miał inną kobietę! Otworzą ci się wtedy oczy!

Zamiast odpowiedzi, Stefan wyjął z kieszeni parę rękawiczek i począł je naciągać ze spokojem.

— Co to ma znaczyć, Stef?

— To znaczy, że spełni się także i to twoje życzenie, najmilsza. Umówiłem się z twoją przyjaciółką, Niną, że pójdziemy na kolację... Wybaczysz mi zapewne...

Zanim Ola zdołała otworzyć małe, ale tak skore usta — Stefan był już za drzwiami.

— Zostań, Stef! — wołała, zbiegając w dół po schodach. — Zostań! Na jedno słówko! Zostań, proszę cię przecież! — I z ostatkiem wspaniałej energji dodała:

— Życzę sobie, abyś został!

Lecz to było przecież już czwarte życzenie — dobra wróżka nie spełniła go zatem wcale.

A. R.

Anielcia przyłożyła ręce do piersi. Obawiała się, by państwo Kolbe nie posłyszeli gwałtownego bicia serca.

Anielcia panowała nad sobą wszystkiemi siłami.

W chwili, gdy usłyszała nazwisko Sokolskiego, nagle zrozumiała wszystko. Wiedziała, kto jest ojcem nieszczęśliwego, biednego dziecka, które znajdowało się w rękach Gilowej.

Dziecko, o którem na zamku Sokolskich, można się było dowiedzieć bliższych szczegółów, — było potomkiem hrabiego Kazimierza Zamskiego i — jego niewiernej żony — Loli.

O, dziwne uczucie opanowało serce Anielci, gdy sobie opmyślała w duszy: Dziecko, o którem na zamku So-Anielci, gdy sobie pomyślała w duszy: jaki sposób dziecko dostało się do rąk Gilowej.

Wiedziała, że Kazimierz rozłączył się z Lolą. Widocznie złapał ją na niewierności! To dziecko nie było jego synem! Dlatego nie zostało na zamku Sokolskich! Dano je w obce ręce, które, — tak, tutaj tkwił ciemny punkt — a wszystkie kombinacje i domysły Anielci obracały się w niwecz.

W jaki sposób przyszło do tego, — jak mówiła znaleziona kartka, — że nagle przestano posyłać pieniądze na wychowanie dziecka, skutkiem czego opiekunowie byli zmuszeni zostawić je na dworcu?

Kazimierz był za szlachetnym człowiekiem i z pewnością nie wystawiłby na nędzę niewinnego dziecka! Dziwne, że nagle przestał posyłać miesięczne wsparcie!

Prawda. Kazimierz wyjechał do Ameryki. — Lecz w tym wypadku zapewne hrabia Zygmunt wziął na siebie obowiązki swojego zięcia. Anielcia znała dobrze hrabiego Zygmunta, który nie poskąpił pieniędzy dla biednej istoty.

Tego nie mogła zrozumieć! Z drugiej strony straszny obraz nędzy u Gilowej zbudził w jej sercu dziwne uczucia i małą nadzieję:

Nieszczęśliwy, opuszczony chłopak był synem Loli! Przyszedł na świat na zamku hrabiego Sokolskiego!

Anielci zdawało się, że ją wiąże pokrewieństwo krwi z tem dzieckiem.

„Panno Anielciu!“ zawołał nagle radca opiekuńczy Kolbe. „Dlaczego się pani tak zamyśliła? Chce pani zbadać tajemnice życia?“

„Być może, że myślę nad taką zagadką, panie radco opiekuńczy.“ odparła Anielcia z lekkim uśmiechem, — „właśnie namyślałam się, gdzieby można umieścić to dziecko, które znajduje się w rękach Gilowej.“

„Sądzi pani, że dziecka nie można zostawić dłużej u tej kobiety?“

„Tak jest, panie radco opiekuńczy,“ rzekła Anielcia, „dziecko umrze najdalej za tydzień, jeżeli pozostanie w tej jaskini. Stowarzyszenie musi działać energicznie w tym wypadku i zaradzić natychmiasmt. — Dziecko nie powinno zostać ani godziny u Gilowej!“

„To się łatwo mówi,“ odparł opryskliwie radca opiekuńczy. „Trudniej poradzić! Chętnie pomógłbym temu dziecku, lecz obecnie nie wiem ani o jednej odpowiedniej rodzinie.“



Nowakowicz, szef protokółu dyplomatycznego w Białogrodzie i minister Bode, poseł jugosłowiański w Moskwie zamieszani są w wielką aferę przemytniczą. Na zdjęciu widzimy urzędników policyjnych ze skonfiskowanem złotem i srebrem, które wspomniani panowie przewozili w walizach dyplomatycznych.

„O, jeżeli się tylko oto rozchodzi,“ zawołała młoda, piękna dziewczyna, zrywając się ze stołka, „to wynajdę chętnie dla dziecka drugą matkę!“

„Znalazła ją pani? Gdzie mieszka?“

„Tutaj!“ zawołała Anielcia i wskazała palcem na siebie.

Radca opiekuńczy i jego żona spoglądali na siebie niedowierzająco. Po chwili Kolbe ujął drżącą rękę Anielci, uścisnął serdecznie i zawołał wesołym głosem:

„Co, czy mnie słuch nie myli? Panna Anielcia chce się zaopiekować tym chłopakiem? Pragnie pani uratować to opuszczone stworzenie?“

„Tak jest, panie radco opiekuńczy!“ zawołała Anielcia z widoczną radością; — „zastąpię mu matkę! Będę go pielęgnować i da Bóg wyprowadzę go na człowieka!“

„Zawsze mówiłem, że pani jest szlachetną, dobrą kobietą!“ odparł pan Kolbe. „Rzeczywiście, zasługuje pani na dobrego męża i na szczęście! — Stara nie gniewaj się, ale dalibóg nie wstrzymam się i uścisnę pannę Anielcię. Przecież nie będziesz zazdrościć?“

„Nie bój się!“ odparła pani Kolbe. „Ja pójdę także za twoim przykładem. Doprawdy, wzruszyła mnie pani. W tak młodym wieku wzięła pani tak ciężkie zatrudnienie! A teraz chce nawet pani wziąć do siebie biedną istotę i zastąpić jej matkę! Dobra, poczciwa dziewczyno, niech ci Bóg to wynagrodzi!“

Małżeństwo uściskało Anielcię, a stary radca opiekuńczy obtarł ukradkiem kilka łez, skarżąc się, że mu wpadło coś do oka.

„W takim razie panno Anielciu, wszystko byłoby załatwione!“ zawołał radca opiekuńczy. „Pani weźmie do siebie małego i zaopiekuje się nim! — Naturalnie otrzyma pani pieniądze na wychowanie, — nie, proszę mi się nie sprzeciwiać — nie ma pani prawa gardzić tym zasiłkiem! Przeznaczę pani najwyższą ratę, jaką wogóle dajemy. — Proszę pójść do Gilowej i odebrać dziecko od tej podłej kobiety.“

„Dziękuję panu z całego serca!“ rzekła Anielcia, — wstrzymując z trudem łzy, cisnące się do oczu, „nie potrzebuję panu zapewniać, że dziecko będzie żyło u mnie, jak w raju. Do widzenia, spieszy mi się do Gilowej. Nie wiem, czy dziecko zastanę przy życiu! Nie ufam tej złej kobiecie.“

„Chwała Bogu istnieje jeszcze więzienie!“ zawołał radca opiekuńczy; „Gilowa wie o tem i zapewne nie popełni takiego czynu, któryby ją wpędził do więzienia!“

Anielcia pożegnała się z państwem Kolbe, którzy w ostatnich czasach byli dla niej prawdziwą podporą i wybiegła na ulicę, zdążając do Gilowej.

Po drodze przeliczyła swoje pieniądze i przekonała się, że ma jeszcze czterdzieści marek.

Tą razą pukała długo, zanim Gilowa otworzyła drzwi; stara wiedźma zwykle już rano była zupełnie pijana. Jej twarz czerwieniła się jak kociołek z ponczem, a oczy rzucały złowrogie spojrzenia, gdy wreszcie otworzyła drzwi Anielci.

„Ach, to pani!“ zawołała Gilowa; „zapewne po tego małego chłopaka? Tem lepiej! Nie mam nic przeciwko temu.“

„Piliście znowu?“ zapytała Anielcia z przerażeniem, „nie możecie się powstrzymać od tej zgubnej namiętności?“

„Haha, to moja jedyna ucieczka, która mnie trzyma przy życiu! Flaszeczka, — oh, gdybym jej nie miała, to by mnie już byli dawno djabli wzięli! — No, niech się pani tylko tak bardzo nie dziwi. Kto wie, czy panna Anielcia nie zakocha się kiedy w wódce! — Trzeba mieć takie szczęście, jak ja; ludzie mnie zdradzili, a drogie osoby podle oszukały, więc zapoznałam się z gorzałką! Chodź moja flaszeczko, moje kochane dziecko, — niech cię ucałuję!“

Równocześnie przyłożyła flaszkę do ust i piła chciwie, dopóki nie wypróżniła jej aż do dna.

Próżna flaszka wypadła jej z ręki i rozbiła się na tysiące kawałeczków.

„Przychodzę w imieniu pana radcy opiekuńczego Kolbe," rzekła Anielcia, będąc przekonaną, iż pijana kobieta i tak jej nie zrozumie, „i zabiorę dziecko ze sobą."

„Radca opiekuńczy Kolbe — niech go djabli wezmą! — Dziecko, — niech kark złamie! Jestem stara Gilowa i zostanę nią aż do śmierci! Jeżeli kto twierdzi, że jestem złą kobietą, to mu rozbiję głowę!"

Anielcia zauważyła, że pijana zachowywała się coraz bardziej niespokojnie. Przypomniała sobie także, że nałogowi pijacy dostają chwilowo rodzaju obłędu, w którym zdolni są do popełnienia morderstwa. Anielcia postanowiła wycofać się o ile możności jak najprędzej z tego niebezpiecznego położenia.

Wyjęła dziecko z brudnej skrzyni. — Mały chłopak spał, — jego oddech był spieszny i nieregularny.

Zapach wódki wydobywał się z ust niemowlęcia. — Widocznie występna kobieta oszołomiła dziecko znowu spirytusem.

Lecz poco robić wyrzuty? Wiedźma i tak by ich teraz nie zrozumiała! Zresztą za chwilę opuści to straszne miejsce. Nigdy w życiu nie zobaczy tej jaskini. Mały aniołek, którego trzymała na rękach, nie powinien dłużej oddychać tą zatrutą atmosferą. Zawinęła go w jedwabną chustkę i przytuliła do piersi.

Anielcia otworzyła pulares i położyła na stole dwadzieścia marek.

„Gilowa, to dla was!" rzekła. „Jestem uboga, nie mogę wam dać więcej! Te dwadzieścia marek niechaj będą wynagrodzeniem za usługi, któreście mi niegdyś oddali. — No, dlaczego milczycie tak uporczywie, — i stoicie ciągle przy drzwiach? Jak widzę, to Gilowa trzyma ręce na plecach i ukrywa coś przedemną!"

„Ukrywam?" zawołała stara wiedźma, pieniąc się ze złości, „trzymam siekierę, — i rozłupię ci nią głowę! — Haha, jesteś przyczyną mojego nieszczęścia! Gdyby nie ty i ten przeklęty Slatkin, toby policja nie zrobiła u mnie rewizji! — Teraz porachujemy się! Musisz umrzeć razem z tym podłym płodem, który chciałaś mi zabrać!"

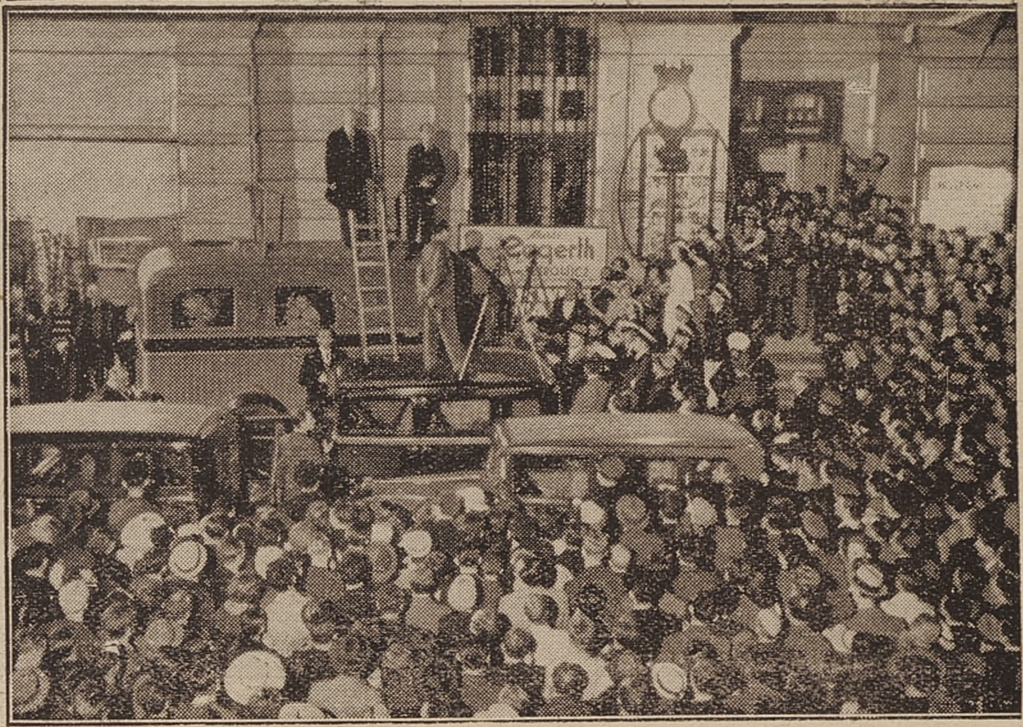
Anielcia cofnęła się o kilka kroków, gdyż szalona kobieta porwała nagle za siekierę i wzniosła ją nad jej głową.

„Pani Gilowa, — opamiętajcie się! — Chcecie mnie zamordować? Pójdziecie do więzienia, jeżeli zawołam o pomoc!"

„Do więzienia?" syknęła wiedźma, — „oho, zobaczymy, kto pierwej dostanie się do więzienia. Ha, jak ty nagle wyrosłaś? Wyglądasz jak słoń! Lecz nie boję się ciebie! Zabiję cię! — Ach, te myszy, — setki, tysiące, dziesiątki tysięcy, — nie, rozłupię ci czaszkę!"

Anielcia podniosła rękę, by pochwycić uderzenie siekiery. Drugą tuliła dziecko do piersi.

Rzeczywiście udało się jej pochwycić siekierę i uniknąć pierwszego ciosu.



Z okazji uroczystości „Święta Morza" w Warszawie śpiewał podczas akademji w Filharmonji głośny nasz śpiewak Jan Kiepura. Po opuszczeniu sali chwyciła publiczność Kiepurę na ulicy, zmuszając go do dalszych „bisów". Na zdjęciu widzimy Kiepurę, śpiewającego... z dachu swego samochodu.

Lecz, nadzieja, że Gilowa osłabła z powodu pijaństwa, okazała się wkrótce mylną! Pijana kobieta była silną jak olbrzym.

Gilowa rzuciła się nagle na przerażoną Anielcię i powaliła ją na skrzynię, z której przed chwilą wyjęła dziecko.

Anielcia nie wypuściła chłopaka i zakrywała go swojem ciałem. Była świadomą odpowiedzialności za życie tej bezbronnej istoty. Raczej zginie, a nie wyda tego dziecka szalonej kobiecie.

Gilowa zawyła z wściekłości i z siekierą w ręce zaczęła tańczyć koło Anielci.

Straszna śmierć groziła biednej dziewczynie, nad którą unosiło się ciągle złowrogo błyszczące ostrze siekiery.

„Na pomoc!" wołała głośno Anielcia, — „na pomoc, — morderstwo, — oh, ratujcie!"

Anielcia nie chciała umrzeć w tej brudnej izbie przesiąkniętej zabójczą atmosferą! Nie, taka śmierć przejmowała ją straszną zgrozą! —

„Teraz zabiję cię!" wyła Gilowa, „a dziecku utnę głowę! Następnie — potem zapalę duży ogień, — hu, jasne płomienie buchną wysoko, — i spalimy się wszyscy troje, — tak wszyscy!"

Stara uderzyła siekierą. Lecz Anielcia w ostatniej chwili skoczyła na bok i uniknęła śmiertelnego ciosu. — Siekiera wbiła się w skrzynię.

Anielcia zerwała się, przyskoczyła do Gilowej i chwyciła ją rękami za piersi.

Lecz i Gilowa objęła uroczą dziewczynę i dusiła ją tak mocno, że Anielcia po chwili nie mogła złapać powietrza.

Walczyły zawzięcie, pot spływał im z czoła, podczas gdy dziecko, leżące na ziemi, zaczęło nagle płakać.

Anielcia wołała ciągle o pomoc. Nie miała jednak wielkiej nadziei, czy kto posłyszy jej głos i pospieszy z pomocą! Gilowa była widocznie jedyną lokatorką w oficynach. Zresztą ludzie, mieszkający w podobnych domach, są zanadto przyzwyczajeni do awantur i krzyków, by się troszczyli o to, co się działo w mieszkaniu Gilowej.

Po drugiej stronie, gdzie mieszkali porządni ludzie, nikt nie mógł słyszeć wołania Anielci.

„Czekaj!" krzyczała stara wiedźma. „Uduszę cię! — Ah, wiem, chciałaś mi wsypać truciznę do wódki! Posłała cię policja! — Lecz ja, — uduszę cię teraz!"

„Boże, jestem zgubiona!" wołała Anielcia!

Pijana kobieta rzuciła ją na ziemię, a po chwili obie tarzały się po podłodze. Szalona megera zyskiwała przewagę.

„Uduszę cię!" szeptała pijana Gilowa, „tak, — musisz umrzeć, — umrzeć! — Zatrułaś mi ulubioną wódkę!"

Ręce Gilowej wbiły się w białą, śliczną szyję Anielci i zaciskały ją z całej siły. Anielcia czuła brak oddechu, traciła powoli przytomność, wtem —

„Co się tu dzieje?" zawołał silny głos męski, „wołano o pomoc — gdzie —"

Anielcia zebrała ostatnie siły i zawołała ochrypłym głosem:

„Na Boga, — ratujcie, — morderstwo, — morderstwo!"

Ktoś dobijał się do drzwi, które Gilowa przedtem zamknęła. Stare drzwi uginały się i trzeszczały pod uderzeniami nieznajomego. Nagle rozległ się huk i na progu pokazała się postać młodego mężczyzny.

„Boże, — co to znaczy?" zawołał zbawca, którego Bóg zesłał w ostatniej chwili.

Pochwycił Gilową za plecy, oderwał od Anielci i rzucił pijaną kobietę w róg pokoju.

„Droga panienko"! zawołał młody mężczyzna, podnosząc bezprzytomną prawie Anielcię. „Co się stało, — skąd się pani tu wzięła? Ta stara wiedźma, o której nikt nie powie ani jednego dobrego słowa, chciała panią zamordo-

wać? — O Boże, na ziemi leży dziecko, — prawdopodobnie było na wychowaniu u tej kobiety! — Proszę, niech pani wstanie, — wyjdziemy na świeże powietrze, — to orzeźwi panią!“

„Dziecko, — dziecko, — muszę je zabrać ze sobą!“

Pierwsza myśl Anielci pobiegła do dziecka, które powierzono jej opiece.

Młody mężczyzna podniósł dziecko i podał je Anielci. Piękna dziewczyna była do tego stopnia osłabiona, że nie mogła się utrzymać na nogach. Usiadła na starym stołku.

Obserwowała swojego zbawcę. Był to młody, piękny mężczyzna, mający najwyżej dwadzieścia pięć lat.

Jasne włosy, rozdzielone na głowie, krótki, ciemny wąs, zakrywający górną wargę, — zdobiły twarz nieznajomego! Od lewego ucha aż do ust ciągnęła się długa blizna, świadcząca o odbytym pojedynku.

Młody mężczyzna był widocznie studentem, lecz całe jego zachowanie mówiło, że już dawno ukończył nauki.

Jego postawa i ubranie były bez zarzutu. W chwili, kiedy wyratował Anielcię, trzymał pod pachą czarną torebkę. Teraz wziął ją do ręki i gotował się do wyjścia.

„Sądzę, że przyszedłem w samą porę!“ przemówił do Anielci, rzucając na nią spojrzenie pełne zachwytu i uwielbienia. „Dziwię się, że pani miała odwagę wejść do tej jaskini. Niedawno temu powiedziałem właścicielce tej kamienicy, by wypowiedziała mieszkanie owej podejrzanej kobiecie. To nałogowa pijaczka, — i do tego, jak się pani przekonała, — nadzwyczaj niebezpieczna osoba!“

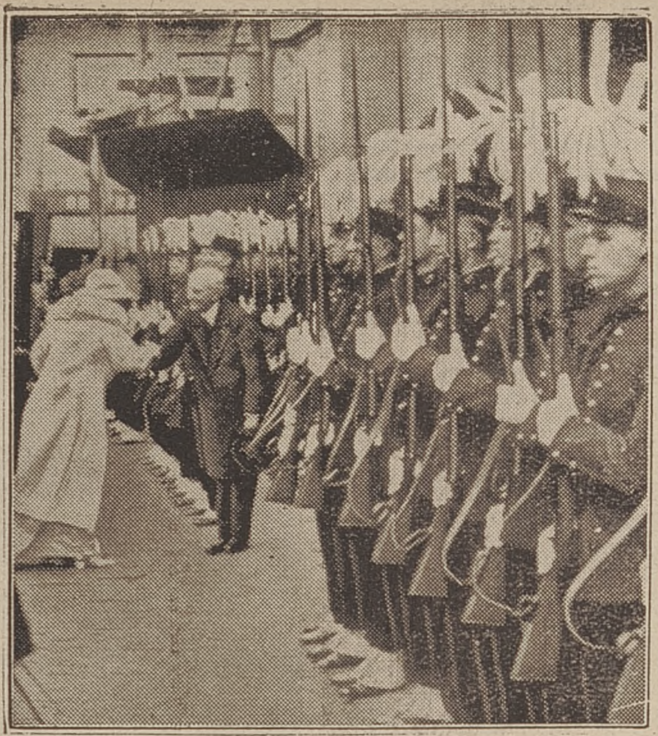
„Tak jest, chciała mnie zabić siekierą, ponieważ spełniłam mój obowiązek,“ odparła Anielcia. „Właśnie chciałam z polecenia towarzystwa dobroczynności odebrać jej dziecko, które byłoby marnie zginęło w rękach tej kobiety. Ze złości zagrodziła mi drzwi i porwała za siekierę.“

„Trzeba dać znać policji!“ zawołał młody, przystojny mężczyzna, „albo niech pani da spokój wszystkiemu. — Stara wiedźma nie może teraz pani wyrządzić żadnej krzywdy. Poco się wikłać w procesa. Lecz — “ dodał nieznajomy zmienionym głosem i spojrzał badawczo na młodą, piękną dziewczynę, — „lecz zdaje mi się, żem już gdzieś widział panią! Tak. Nie mylę się, twarz pani jest mi znajomą! Przypomina mnie sobie pani?“

Anielcia spojrzała uważnie na mówiącego. Tak, spotkała już gdzieś swojego zbawcę.

„Przyznaję,“ rzekła Anielcia, — „że mi pan nie jest obcy. Tak, a nawet zdaje mi się, żeś pan podobnie jak dzisiaj, zjawił się w rozstrzygającej chwili mojego życia. — Człowiek jest niewdzięcznem stworzeniem i zapomina nawet o tym, któremu powinien być wdzięcznym z całego serca.“

„Pani raczy darować,“ — odparł nieznajomy pan, — „że pomogę jej pamięci! Przypomina sobie pani ów poranek w lesie, kiedy to rzeka odcięła pani dalszą drogę? Nagle pokazało się czółno i —“



Z okazji obchodu 300-lecia uniwersytetu w Utrechcie w Holandji, odbyły się uroczystość', w których między innemi wzięła udział królowa Wilhelmina. Na zdjęciu widzimy moment powitania królowej przez rektora uniwersytetu.

„Pan siedziałeś w tem czółnie!“ zawołała Anielcia drżącym głosem, gdyż przed jej oczyma odżyło wspomnienie ucieczki z domu obłąkanych doktora Morizano. „Pan wyratowałeś mnie z tego położenia? O, nie zapomniałam nazwiska, — często myślałam o panu! Kurt Hartman, student! Prawda?“

„Tak jest, droga panienko!“ odparł młody mężczyzna i pokłonił się nisko „niegdyś byłem studentem, obecnie jestem sędzią przy obwodowym sądzie w Berlinie i wkrótce zaawansuję na radcę. — Zawsze myślałem o pani. Zapewniam słowem honoru, że obraz pani wrył się głęboko w moją duszę. Ach, dlaczego nie raczyłaś pani przyjąć moich zaprosin? Oczekiwaliśmy zawsze, będąc w rezydencji. Mojej siostrze naopowiadałem tyle o pani! Od tego czasu śmieje się zawsze ze mnie, żem wówczas zapewne usnął w łódce i śnił tylko o pani! — W każdym razie uroczy i piękny sen.“

„Dziękuję jeszcze raz panu sędziemu,“ rzekła Anielcia i podała mu swoją piękną rączkę, „za pańską grzeczność i dzisiejszy ratunek. Zawdzięczam panu moje życie i jestem wdzięczną z całego serca!“

„Nie mówmy o tem, droga pani,“ — odparł młody sędzia, — „nie wspominaj pani o wdzięczności! Każdy uczyniłby to samo na mojem miejscu; cieszę się, że Opatrzność pozwoliła mi oddać pani małą przysługę! — Może wyjdziemy? Zdaje mi się, że pani niedobrze w tej ciężkiej atmosferze! — Zabierze pani dziecko? Dobrze, więc chodźmy; zamówię fiakra.“

„Co się stało z tą kobietą?“ zawołała Anielcia, tuląc dziecko do piersi, „Gilowa nie rusza się, — czyżby nagle umarła?“

„O, nie, droga panienko,“ uspokoił sędzia, rzuciwszy badawczy wzrok na starą kobietę, „upiła się i śpi! Słyszy pani, jak chrapie? Najlepiej nie troszczmy się o nią wcale! Przykre to, że człowiek upada gorzej aniżeli bydlę!“

„A do tego kobieta,“ zauważyła Anielcia, „która podwójnie powinna zważać na swoją godność!“

Anielcia wzięła małego chłopczyka i wyszła ze sędzią na ulicę, wciągając chciwie do płuc świeże powietrze. Nie czuła trwogi, widząc dokoła ruch i gwar wielkomiejskiej ulicy.

„Gdzie pani jedzie? Do domu? zapytał młody sędzia.

„Tak jest, do mojego mieszkania, przy ulicy Strassburskiej!“ odparła Anielcia. — „Zajmę się wychowaniem dziecka!“

„Jakto, — pani?“ zawołał przystojny mężczyzna. — „To za duże zadanie dla pani!“

„Mojem zdaniem nadzwyczaj wdzięczne zadanie!“ odparła Anielcia. „Czyż może być coś piękniejszego nad rozwijanie pączków, które kiedyś przemienią się w cudowny kwiat?“

Kurt Hartman spojrzał milcząco na Anielcię; w jego oczach odbijała się dziwna myśl. Dziwiło go, że ta piękna dziewczyna zajęła się wychowaniem obcego dziecka! A może to dziecko nie jest dla niej zupełnie — obce?

Lecz w tej samej chwili pierzchły wszystkie podejrzenia.

Wstydził się, że wogóle mógł pomyśleć o czemś podobnem.

Zawołał dorożkę i pomógł Anielci wsiąść do powozu. Piękna dziewczyna podała mu rękę, którą młody sędzia przyłożył do ust i wycisnął na niej gorący pocałunek.

„Jeżeli pani chce mi okazać swoją wdzięczność, to zapewne nie odmówi mojej prośbie!“ zawołał młody mężczyzna.

„Prośba? Chętnie, jeżeli tylko będę mogła!“ odparła Anielcia.

„Mogę się zobaczyć z pani? Nie, — dlaczego pani przeczy? — Nie widzę racji, dlaczego ludzie, których losy zapoznały w tak dziwny sposób, mieliby unikać siebie. Pani pozwoli, że jej złożę wizytę! W pierwszą ładną niedzielę, pójdziemy do ogrodu zoologi-

cznego, albo zrobimy wycieczkę w okolicę Berlina! Proszę, niech mi pani wyjawi numer domu!“

„Numer czwarty,“ odparła Anielcia. „Przyjmę chętnie pana, lecz pod warunkiem, że nasza znajomość nie przekroczy nigdy granic bezinteresownej przyjaźni!“

„Zgadzam się na warunek pani!“ zawołał Kurt Hartman i położył rękę na sercu; „niech pani będzie przekonaną, że nie zawiodę zaufania.“

Woźnica zaciął konie biczem i doróżka potoczyła się szybko po bruku. Młody sędzia patrzał za nią, dopóki nie zginęła mu z oczu.

„Odjechało moje szczęście!“ szepnął. „Teraz urzeczywistni się może mój sen, o którym marzyłem przez całe studja! W mojej duszy wyłaniał się zawsze obraz tej uroczej dziewczyny! Ciągle widziałem przed sobą to anielskie oblicze! Wreszcie spotkałem ją. Czekaj, Anielciu, mój słodki skarbie, teraz nie będziesz tak samotną na świecie. Dzięki Ci, Boże, że cień mojego życia przemienił się w rzeczywistą postać!“

Podczas, gdy młody sędzia budował plany przyszłości i zamki na lodzie, Anielcia, siedząc w powozie, tuliła do łona, biednego, opuszczonego chłopczyka.

„Śpij, — śpij, biedne dziecko; śpij spokojnie przy mojem sercu! Teraz znalazłeś matkę, która się zajmie tobą i nie dopuści cię nigdy, aż wyrośniesz na dojrzałego mężczyznę. Jesteś dzieckiem tej kobiety, która zniszczyła moje szczęście i zatruła mi całe życie, odebrawszy podstępem ukochanego Kazimierza, — lecz na twoją głowę, biedne, drogie dziecko, niechaj nie spadnie jej wina! — Będę cię kochać i pielęgnować, bez względu na to, kto był twoją matką. — Śpij dziecko, — śpij! — Bozia obdarzył cię kochającą matulą!“

CLXI.

Zamek nad Wartą

Turyści zwiedzający w lesie urocze brzegi Warty, przypominają sobie zapewne ów zamek, położony w pobliżu Bingen, otoczony dokoła świeżą zielenią starych lasów. Zamek, zbudowany w średniowiecznym stylu, robi wrażenie warowni rycerzy - rozbójników. Kapitan okrętu, utrzymującego regularną komunikację na wodach Warty, na pytania swoich pasażerów, czy można zwiedzić romantycznie położony zamek, odpowiedział:

„Tak, zeszłego roku było wolno zwiedzać zamek hrabiego Zamskiego. Lecz obecnie mieszka tam sam właściciel. Dziwi mnie bardzo jego zakaz, mocą którego zabronił obcym zwiedzania swojego pięknego zamku.“

„Dlaczego“? - zapytał ten i ów, przecież nikt nie ukradnie tego zamku. A może sądzi, że jakiś amator starzyzny wyrwie jeden z słupów i uciecze z nim na plecach?“

Kapitan wzruszał ramionami i odpowiadał turystom:

„Wprost nie do uwierzenia, dlaczego wydano taki zakaz. Za życia starego hrabiego Zamskiego, — znałem go



Do Holandji przybył książę Kentu dla otwarcia w Amsterdamie wystawy malarzy angielskich. Przy tej okazji przyjęty był przez królowę holenderską. Widzimy ich na schodach pałacu Het Loo. Po prawej następczyni tronu księżniczka Juljana.

osobiście; niedawno temu umarł w Paryżu, — brama zamkowa stała otworem dla turystów i gości. Każdego wpuszczono. Stary hrabia cieszył się, gdy podróżni zwiedzali jego zamek, to stare gniazdo jego słynnych przodków. Młody hrabia Kazimierz Zamski, jako światowiec i poczciwy człowiek, nie wygląda wcale na to, by mógł wydać podobne rozporządzenie. Lecz niestety, — ma powód do tej samotności, — biedak ociemniał.“

Pasażerowie, a zwłaszcza płeć piękna, wyrażali słowa współczucia. Kapitan za każdą razą musiał opowiadać, ile lat liczy hrabia Kazimierz Zamski i w jaki sposób postradał światło oczu.

Czasem kapitan zamiast odpowiedzi zwracał się w stronę zamku.

W górze na balkonie, wspartym na wysokich koryneckich słupach, otwarły się szklane drzwi. Kapitan wskazał ręką, a oczy wszystkich pasażerów biegły hen wysoko na skałę. Turyści widzieli teraz uroczą scenę, której nie zapomną nigdy w życiu.

Tam w górze wyszedł na balkon młody, przystojny mężczyzna, o bladej, smutnej twarzy. Urocza dama, ubrana w czarną suknię, prowadziła go za rękę do krzesełka.

Ten ociemniały był hrabią Kazimierzem Zamskim.

„Taki młody, przystojny, — a nie widzi!“ szeptali pasażerowie okrętu. Setki spojrzeń śledziły nieszczęśliwego człowieka, dopóki okręt nie minął wysokiego zamku hrabiego Kazimierza.

Wrzawa, radość i śpiew ucichły nagle wobec tego strasznego nieszczęścia. Turyści spuszczali kielichy, wypełnione złotawem reńskiem winem, a na pokładzie zagasła wesoła pieśń, którą jeszcze przed chwilą nuciły rozśpiewane usta:

„Tak nad Wartą moje życie,
Tylko nad Wartą mój kraj“.

Tak, Kazimierz Zemski znosił mężnie straszne nieszczęście i nie oddawał się wcale rozpaczy. Dotychczas nie przejrzał jeszcze. Ciemna zasłona leżała ciągle na oczach nieszczęśliwego hrabiego Nie widział promieni słoneczych, ani ciemno-zielonych fal Warty, — dotychczas nie odzyskał wzroku.

A jednak był szczęśliwy!

Tak, nie do uwierzenia, a przecież prawdziwe. Kazimierz sądził, że przy nim znajduje się Anielcia i był szczęśliwym.

Lola oszukała potwornie nieszczęliwego. Chwyciła się środka, który trzeba nazwać koroną jej zbrodni.

Dzięki energicznej pomocy ojca, udało się Loli usunąć hrabiego Zygmunta Sokolskiego i uniknąć w ten sposób odkrycia, które jej groziło w Berlinie przed ośmioma miesiącami. Następnie uprowadziła Kazimierza na ojcowski zamek nad Wartą.

Teraz należał do niej niepodzielnie! Była ciągle przy nim! Pozbawiła nieszczęśliwego ludzkiej pomocy, która by mu otwarła oczy na niecne i podłe oszustwo.

Lola oddaliła przedewszystkiem ze zamku zbyteczną i nie zasługującą na zaufanie służbę.

Zatrzymała tylko lokaja starego hrabiego Zamskiego, przebiegłego Francuza Alfonsa. Przejrzała jednym rzutem oka, że ten człowiek nie cofnie się przed żadną zbrodnią i w danym wypadku spełni ślepo jej rozkazy.

Potrzebowała wspólnika. Wprawdzie nie wyjawiła lokajowi całej prawdy, lecz zwierzyła mu się o tyle, by się postarał o jakieś indywiduum, które by zechciało odegrać rolę księdza.

Okłamała bowiem Kazimierza, że napisała do biskupa w sprawie ślubu. Powiedziała młodemu hrabiemu, że wkrótce zjawi się ksiądz, który zwiąże ich ręce nierozerwalnym węzłem.

Alfons nie mógł spełnić tej roli, gdyż hrabia Kazimierz byłby go poznał po głosie. Lecz przebiegły lokaj znał jednego człowieka, żyjącego w Bingen, który był wprost stworzony do odegrania tej komedyi. Był to nieukończony student, niejaki Jan Słowik.

Przed piętnastu laty studjował w Heidelbergu i w Berlinie i był znany między kolegami ze swojego ostrego dowcipu i awantur.

Jego ojciec, właściciel wielkiej fabryki w Poznaniu, pokładał w nim duże nadzieje, i posyłał mu tyle pieniędzy, ile wesoły synalek tylko zażądał.

Lecz właśnie nadmiar pieniędzy stał się nieszczęściem młodego studenta. Naturalnie o nauce nie było ani mowy. Słowik spędzał dnie w łóżku, a w nocy hulał po knajpach.

Półrocze mijało za półroczem, a Jan Słowik nie zdał ani jednego egzaminu. Na nieszczęście zachorował jego ojciec i umarł w kilka tygodni. Teraz pokazało się, że fabryka stała nad brzegiem ruiny. Po zapłaceniu wierzycieli nie pozostało nic dla Jana. Jednak był zmuszony pracować na siebie.

Mój Boże, trudne to zadanie, zwłaszcza dla tego, kto niczego się nie nauczył.

Jan Słowik powiesił studja na kołku. Daleka krewna przyjęła go do siebie i dała mu mieszkanie z utrzymaniem. Inaczej byłby zginął napewno gdzieś na bruku.

Początkowo starał się zarabiać na życie udzielaniem lekcji i odpisywaniem aktów; nie wiodło się mu jednak. Gdy dostał kilka marek, to można było iść o zakład, że je przepuści zaraz w podejrzanej restauracji w towarzystwie najgorszych wyrzutków społeczeństwa. Pieniądze znikały w jego gardle jak woda w bezdennej beczce.

Lokaj Alfons poznał Słowika przypadkowo w jednej z podmiejskich restauracji.

Gdy Lola poleciła mu, by wyszukał człowieka, zdolnego do odegrania roli kapłana, pomyślał natychmiast o starym studencie, który posiadał pewną wprawę w krasomówstwie.

Jan Słowik zgodził się za sto marek na spełnienie zbrodniczego dzieła.

Wykolejony student może nie zdawał sobie sprawy z podłości, — do której obiecał przyłożyć swoją rękę. Alfons powiedział mu, że się rozchodzi o miłosny stosunek jednego młodego pana, który pragnie go upozorować kościelną sankcją.

Jan Słowik, ubrany w kapłańskie szaty, zjawił się jednego dnia na zamku i został przedstawiony hrabiemu.

Były student mówił z wielkiem namaszczeniem i na zadane pytania odpowiadał z bezczelną przytomnością umysłu.

Tego samego dnia odbyła się ślubna ceremonja w zamkowej kaplicy.

Lola pod nazwiskiem hrabianki Anielci Sokolskiej została po raz drugi żoną hrabiego Kazimierza Zamskiego.

Nie potrzebujemy nadmienić, że Jan Słowik wystawił także świadectwo ślubu. Dla niego było najważniejszą rzeczą, że po ślubie podano wspaniałą kolację; fałszywy ksiądz zapijał różne wina, tak, że Lola dała znak Alfonsowi, by wydalił jak najprędzej tego człowieka.

Czcigodny księżulo zaczął nagle śpiewać studenckie piosenki i wymawiał zdania, nie licujące wcale z powagą duchownej szaty.

Słowik pił całą noc w odległym pokoju. Nad ranem stracił przytomność i powalił się pod stół jak kłoda.

Na drugi dzień wręczono mu obiecane sto marek i zakazano najsurowiej, by się nie odważył nigdy wejść do zamku.

W ten sposób Lola została znowu żoną hrabiego Kazimierza Zamskiego, po raz drugi przez oszustwo, — po raz drugi przez zbrodnię!

Lecz dopięła swojego celu; w jej mocy znajdował się ukochany mężczyzna.

A Kazimierz? O, nieszczęśliwy ślepiec nie domyślał się, że to nie Anielcia podała mu rękę do dozgonnego związku.

Był przekonany, że przy jego boku żyje owa urocza bogińka, którą niegdyś spotkał na leśnym brzegu.

Nie przeczuwał, że te namiętne uściski, którymi Lola go wprost dusiła, były podobne do pieszczot, zaznanych niegdyś w Paryżu.

Boże, to nie sztuka oszukać ociemniałego! Lecz tego rodzaju oszustwo jest bezgranicznie podłe i godne potępienia!

Oszustwo jest zbrodnią, gdy się go dopuścimy na człowieku niepozbawionym wzroku. Lecz oszukiwać ociemniałego, albo dziecko, na to potrzeba kary gorszej od wszystkich mąk piekielnych.

Lola tryumfowała; stała u szczytu szczęścia, do którego tak wytrwale dążyła.

Lola nie czuła jeszcze nigdy w duszy takiego błogiego uczucia, jak teraz. Była pewną siebie, — wiedziała, że ją nikt nie odkryje.

Któżby mógł ją zdemaskować? Nikt nie otworzy oczu nieszczęśliwemu ociemniałemu, że padł ofiarą oszustwa! Kto, — kto dokonałby tego na całym świecie?

Może hrabia Zygmunt Sokolski, najlepszy przyjaciel Kazimierza?

Haha, hrabia był zamknięty w domu warjatów doktora Morizano i cierpiał gorzej, aniżeli zwykły zbrodniarz. Lola wiedziała o tem.

Pozbawiony wolności Zygmunt nie zaszkodzi nigdy jej szczęściu!

A Elżutka Rodeń?

Lola otrzymała od niej kilka listów, zaadresowanych do Kazimierza Zamskiego. Elżutka zaklinała w listach młodego hrabiego, — jeżeliby doszły do jego rąk, — by jej pospieszył z pomocą celem odszukania zaginionego hrabiego Zygmunta Sokolskiego.

Naturalnie te listy wędrowały do pieca. Piękna awanturnica wyśmiewała szydercze prośby Elżutki, a bezgraniczną rozpacz biednej dziewczyny nazywała — sentymentalnym tonem.

Albo powinna się obawiać Anielci? Czyż to możebne, by ta, której imię przybrała, zjawiła się nagle i zerwała maskę z jej obłudnej twarzy?

Nie, nie bała się Anielci. Kochanka Kazimierza zginęła bez wieści. Nie było nic o niej słychać.

Prawdopodobnie zginęła marnie w Ameryce. A jeżeli żyła, to w każdym razie siny ocean leżał między nią a Kazimierzem.

Lecz Kazimierz Zamski posiadał jeszcze innych przyjaciół i krewnych. Ci jednak nie mogli rozpoznać oszustwa, nawet gdyby przyszli na zamek.

Nie widzieli nigdy Loli i nie znali jej zupełnie. — W razie, gdyby złożyli wizytę Kazimierzowi, musieli przyjąć jako pewnik, że hrabianka Anielcia Sokolska wyszła za Kazimierza Zamskiego.

Zresztą Lola nie obawiała się wcale odwiedzin przyjaciół, albo krewnych, gdyż służba miała rozkaz, nie wpuszczać obcych osób do zamku.

W zamku obok Loli, Kazimierza i lokaja Alfonsa znajdowała się tylko kucharka, dwie służące i stary ogrodnik. Lola zredukowała służbę do ostatecznych granic.

Z wyjątkiem Alfonsa nie było nikomu wolno wchodzić do pokoju Kazimierza. Lola czuwała bacznie nad każdem słowem, które wymawiały obce usta do ociemniałego.

Odbierała własnoręcznie wszystkie listy. Kazimierz naturalnie nie mógł czytać gazet i dlatego nie wiedział nic o tajemniczem zniknięciu hrabiego Sokolskiego.

Gazety pisały długie artykuły. Kazimierz Zamski trzymał często w ręce dziennik, w którym opisywano historję dziwnego zniknięcia hrabiego.

Lola, czytając mu dzienniki, opuszczała naturalnie wszystkie artykuły, mające związek z hrabią Zygmuntem Sokolskim.

Kazimierz wiódł cichy, skromny żywot. Gdyby go zapytano, czy życzy sobie zmienić dotychczasowy tryb życia, to odpowiedziałby napewno „nie“! W tej samotności żyła, jego zdaniem, ukochana Anielcia, urocze zjawisko leśne!

W jej towarzystwie nie odczuwał samotności. Podobnie jak Lola, sądził, że dobiegł do kresu swoich życzeń, gdyż sen całego życia przemienił się w rzeczywistość.

Lola postąpiła wprawdzie podle względem nieszczęśliwego człowieka, lecz, — z drugiej strony trzeba jej przyznać, — że wszystkiemi siłami starała się uszczęśliwić Kazimierza. Otaczała go czułą opieką.

Matka nie dąży tak o swoje dziecko, jak Lola o ukochanego mężczyznę, jeżeli zauważyła na jej czole chmury troski lub bólu. Otaczała go i pieściła namiętną, wielką gotową do wszelkich poświęceń miłością.

Rozpraszała jego smutek własną, swobodną wesołością. Nigdy nie okazywała zniechęcenia, — nigdy nie powodowała się kaprysem i zawsze trzymała na wodzy uczucia gniewu i niechęci.

Czuwała ustawicznie nad ociemniałym. — Znosiła mu kwiaty i róże, — podawała najpiękniejsze owoce, które dojrzewały w zamkowej oranżerji. Spełniała najdrobniejsze jego życzenia i była mu posłuszną jak wierna niewolnica.

Jednego dnia Kazimierz zażądał na obiad łososia. Niestety nigdzie nie było można go dostać, gdyż rybacy wysprzedali cały swój zapas. Lola nie namyślając się długo, wybrała się na połów i złowiła cudowną sztukę.

Słowem spełniła jego każde życzenie i kaprys. Była niezmordowaną w okazywaniu Kazimierzowi swojej miłości.

Postanowiła służyć mu aż do grobu. Za to wszystko żądała od niego tylko trochę miłości.

W jednym jednak punkcie była okrutną i okazywała zawsze kamienne serce.

Nie chciała, by Kazimierz odzyskał utracony wzrok. Wszystkiemi siłami starała się utrzymać jego ślepotę.

Naturalnie! W chwili, gdyby znowu zobaczył światło dzienne, przekonałby się o jej strasznem oszustwie.

Wtedy skończyłaby się jej rola Anielci na zamku Zamskiego, — a urocza sielanka prysnęłaby jak bańka mydlana.

Kazimierz odtrąciłby ją od siebie, jak niegdyś na zamku hrabiego Sokolskiego.

Lola starała się uniknąć tego za każdą cenę.

Profesor Grafe zapytał listownie, czy syn jego starego przyjaciela odzyskał światło oczu, — czy cisza na zamku wpłynęła korzystnie na przebieg choroby?

Lola, nie chcąc sprowadzić na siebie podejrzenia lekarza, była zmuszona odpisać na jego list. Doniosła profesorowi, że dotychczas nie zaszło żadne polepszenie i że choroba nieszczęśliwego hrabiego znajduje się ciągle w tem samem stadjum.

Odwrotną pocztą nadszedł od profesora mały pakiecik.

Okulista Grafe posłał flaszeczkę, wypełnioną białawym płynem i list, w którym donosi Kazimierzowi, że we flaszce znajduje się specjalnie dla niego sporządzone lekarstwo.

Trzy razy dziennie powinien nacierać oczy, a po trzech tygodniach odzyska napewno utracony wzrok.

Lola nie miała odwagi zataić tej przesyłki przed Kazimierzem Zamskim, musiała bowiem liczyć na to, że młody hrabia zażądać może, by profesor Grafe przyjechał do niego i zbadał go powtórnie. W takim razie podejrzana manipulacja z lekarstwem wyszłaby na jaw.

Lecz Lola w inny sposób wybrnęła z tego nieprzyjemnego położenia.

Po prostu wylała lekarstwo i napełniła flaszeczkę zwykłą wodą. Tym płynem nacierała trzy razy dziennie oczy hrabiego Kazimierza Zamskiego.

Kazimierzowi zdawało się, że tajemnicza siła lekarstwa wpływa korzystnie na jego chore oczy. Niestety płonne nadzieje zawiodły go okrutnie.

Kazimierz nie przejrzał. Lekarstwo profesora Grafe okazało się bezsilnem.

Lola napisała znowu do słynnego okulisty, że lekarstwo nie wywarło żadnego skutku.

Własnoręcznie zniszczyła szczęście ukochanego mężczyzny!

Zburzyła jego nadzieje i gorące pragnienia! Powodując się swoją egoistyczną miłością, wydała go na łup strasznej rozpaczy.

Zbrodnia z miłości! Odkąd na świecie istnieją występki, nigdy jeszcze te dwa, tak różne pojęcia, nie złączyły się w jedną całość jak u Loli.

Kazimierz siedział w dużym salonie z którego prowadziły szklane drzwi na balkon. Wsparł głowę na rękach i zamyślił się głęboko. Lola przygotowywała kawę na małym, kosztownym stoliku.

Nad Wartą wznosiło się słońce i prażyło całą siłą swoich promieni. Okna salonu były zasłonięte storami. W pokoju panował półcień.

„Anielciu,“ zawołał nagle Kazimierz, „spełniłaś moje życzenie i napisałaś list do Elżutki Rodeń? Jestem zaniepokojony jej uporczywem milczeniem.“

„Widzisz, mój drogi,“ odparła gorzko Lola, „Elza jak wszyscy zresztą ludzie nie troszczy się wcale o ociemniałego. Słyszałam, że wyjechała do Włoch, — gdzie podobno zawiązała miłosny stosunek z jednym polskim księciem.“

„To niemożebne,“ rzekł Kazimierz, „okłamano cię. Ręczę za Elzę! Tego rodzaju charakter nie zapomni tak prędko o moim szlachetnym przyjacielu Zygmuncie Sokolskim! Nie, Anielciu, nie mogę uwierzyć, że obdarzyła innego swoimi wdziękami!“

„Mnie się także nie chce w to wierzyć,“ zapewniła piękna awanturnica, „lecz powiedz sam, dlaczego po śmierci Zygmunta nie zapytała nigdy o ciebie? Pisałam jej, że mieszkamy w twoim dziedzicznym zamku. Lecz Elza nie pogratulowała nam nawet z okazji naszego ślubu!“

Same kłamstwa! Lola nie zawiadomiła naturalnie Elżutki Rodeń o swoim fałszywym ślubie.

Wiemy, że cała egzystencja Loli na zamku Kazimierza opierała się tylko na kłamstwie. Kłamstwo i oszustwo otaczały ją jak ciemny nieprzenikniony bór.

„Profesor Grafe nie posłał żadnego listu?“ badał Kazimierz po krótkiej chwili milczenia. „Zawiadomiłaś go, że lekarstwo nie odniosło pożądanego skutku?“

„Naturalnie! Lecz profesor Grafe wyjechał obecnie do Zurychu na zjazd lekarski. Prawdopodobnie zwiedzi przy tej sposobności całą Szwajcarję i dlatego wątpię bardzo, czy przed upływem czterech tygodni otrzymamy od niego odpowiedź.“

„Więc znowu zostanę ociemniałym,“ zapłakał Kazimierz. „Ach, nie zniosę tego dłużej. Anielciu, zbliż się do mnie; jestem bliski rozpaczy. Anielciu, chcesz wiedzieć, co się dzieje w mojej duszy?“

Lola stanęła przy Kazimierzu. Na twarzy nieszczęśliwego człowieka malowała się olbrzymia boleść.

Dotychczas znosił mężnie nieszczęście. Czasem skarżył się i ubolewał nad swoim losem, lecz nigdy jeszcze w jego obliczu nie odbijała się taka męka, jak teraz.

Lola ujęła rękę ukochanego mężczyzny i usiadła na małym fotelu, stojącym obok Kazimierza.

„Co ci się stało, mój najdroższy?“ zapytała Lola drżącym głosem. Nigdy nie byłeś tak zrozpaczony. — Trzeba być cierpliwym! Wiesz dobrze, że nie potrzebujesz tracić nadziei. Wcześniej czy później skończy się twoja choroba i przejrzysz znowu na oczy!“

„Nadzieja!“ zawołał gorzko Kazimierz. „Bądź pewną, że ta nadzieja zawiedzie mnie do grobu.“

„Kazimierzu, nie trać odwagi! Myślałam, że nasza miłość osłodzi ci cierpienie.“

„Trudno zapomnieć o takiem nieszczęściu,“ odparł boleśnie młody hrabia. „Ta myśl, że ślepota nie ustąpiła dotychczas, przyprawia mnie wprost o utratę zmysłów. Czuję to, że pragniesz tylko mojego szczęścia i starasz się mnie rozweselić, lecz z drugiej strony odczuwam tem boleśniej moje położenie.“

Kazimierz zamilkł i opuścił głowę na piersi. Prawą ręką targał swoje ciemne, jedwabiste włosy.

„Przed chwilą powiedziałem ci, Anielciu, byś spojrzała na dno mojej duszy. Wiesz o tem, żem już zwątpił w moje wyzdrowienie? Początkowo zapewnił profesor Grafe, że cisza wiejskiego życia, usunie ślepotę; później posłał lekarstwo, którem nacierałaś mi oczy. Lecz to i tamto okazało się zupełnie bezskuteczne. Moje oczy błądzą ciągle w ciemnościach nocy.

„Widzisz, droga Anielciu,“ mówił Kazimierz łzawym głosem, „twoja twarzyczka jest tuż przy mnie, w rękach trzymam twoją głowę, a jednak nie widzę drogich rysów i nie mogę spoglądać w twoje urocze oblicze. Czy zobaczę kiedy twoje piękne oczy? Nie poznałbym nawet, gdyby zamiast ciebie zakradła się do mnie jaka inna kobieta!

„Drżysz, drogie dziecko? Więc dobrze, nie mówmy o takich rzeczach, które nie należą do snu młodej miłości.

„Ach, gdybyś wiedziała,“ mówił Kazimierz podniesionym głosem i ujął Lolę za rękę, „gdybyś wiedziała, Anielciu, jakie szalone myśli krążą w mojej głowie! — Czasem zdaje mi się, że to nie twój głos. A gdy czar słodkiego pocałunku wstrząsa mojem ciałem, nagle budzi się we mnie straszna myśl: to nie Anielcia, lecz —“

„Lecz?“ przerwały drżące wargi pięknej awanturnicy, „lecz? —“

„Teraz wydaje mi się znowu, że słyszę obcy głos!“ zawołał Kazimierz i wstał wolno z krzesełka. „Anielciu, mam ci wyjawić haniebne wyznanie? W owej pierwszej nocy, w której zostałaś moją, w tej nocy po naszym ślubie, nagle w pełni szczęścia i słodyczy zdało mi się, że nie jestem tutaj na zamku, lecz w Paryżu, w owej sypialni, o której myślę zawsze ze wstrętem i obrzydzeniem. Nagle poczułem lubieżny zapach, którym niewierna kobieta skrapiała swoje ciało. Zdawało mi się, że twoje całusy, są pieszczotą Loli. Niewysławiona błogość jaką mnie obdarzyłaś, była podobna do uczucia, którego doznałem niegdyś na piersi tej nierządnicy.“

„O Kazimierzu! To nieprawda! To niemożebne! Nie zgadzam się na to! Nie myśl o niej!“

Lola wypowiedziała te słowa z bo-

leśnym okrzykiem a jej rysy przybrały dziki wyraz.

„Oh, mój ukochany mężu,“ mówiła walcząc z trwogą i przerażeniem, „odpędzaj takie myśli. Nie jestem Lolą, — przy tobie siedzi Anielcia. — W owej nocy oddała ci się Anielcia. W swoich ramionach trzymałeś Anielcię! Powiedz, mów, czujesz, że jestem Anielcią?“

Przysunęła się do niego i dusiła go wprost namiętnym uściskiem. Spoglądała na biednego Kazimierza hypnotyzującym wzrokiem, jakby chciała zaszczepić w jego mózgu myśl, że jest Anielcią.

„Anielciu, moja droga Anielciu!“ zawołał Kazimierz, gładząc jej włosy drżącą ręką. „Przebacz mi, o ukochana, że ci tak źle dziękuję za bezmiar twojej miłości i myślę czasem o tej drugiej kobiecie!

„Tak, czuję, że jesteś Anielcią! Trzeba być szalonym, by inaczej myśleć! Chciałem się tylko przekonać, na jakie bezdroża prowadzi nas ślepota! Nietylko ciało jest bezsilne i potrzebuje życzliwej ręki, lecz i duch szwankuje i nie może pracować samoistnie.“

Lola wiedziała, coby wyratowało Kazimierza z tego strasznego położenia. Potrzebowała wysłać tylko list do profesora Grafe w Berlinie z prośbą o nowe lekarstwo. Nie myślała jednak o tem.

Obawiała się tej chwili, kiedy oczy biednego hrabiego odzyskają dawną siłę.

„Najdroższy, błagam cię i proszę o odrobinę cierpliwości. Wierz mi — — polepszenie musi nastąpić i nastąpi.“

„Tak, ale kiedy“?

„Nie mogę ci odpowiedzieć na to pytanie! Znoś jednak cierpliwie twoje nieszczęście. Czyż nie czujesz się szczęśliwym przy twojej Anielci?“

„Tak, byłbym szczęśliwy, gdyby nie ta ciemnota!“ zawołał Kazimierz. „Anielciu, wyznaj otwarcie, czy w głębi twojej duszy nie budzi się myśl: to straszne, gdy się jest związaną z ciemnym człowiekiem!“

„Kazimierzu, przysięgam ci — “

„Nie, nie przysięgaj! Jesteś za młoda i nie masz prawa do składania takiej przysięgi. Nie żądam też tego od ciebie. Dzisiaj wydaje ci się nasze małżeństwo rajem, bo miłość jest dla ciebie słodką nowością! Wątpię jednak, czy to się nie zmieni. Młodość ma swoje prawa i rządzi się niemi! Kto wie, czy ci nie przyjdzie ochota zakosztować słonecznego, pięknego życia.“

„Przysięgam ci,“ zawołała Lola drżącym głosem, „że do tego nigdy nie przyjdzie. Będę szczęśliwą, jak długo będziesz moim. Ja nie opuszczę dobrowolnie tego zamku! Tutaj jest tak pięknie i uroczo!“

„Tak, kto widzi,“ westchnął Kazimierz, „ten spogląda z zachwytem z balkonu na zielone fale i wspaniały krajobraz, tonący w zieleni dużych lasów. Lecz ja jestem wykluczony z koła tych szczęśliwych ludzi i żyję ustawicznie w nieprzeniknionej, ciemnej nocy. — Ach, zazdroszczę śmierci mojemu niezapomnianemu przyjacielowi Zygmuntowi! Przecierpiał! Śpi spokojnie a złe sny i widziadła nie trapią jego duszy! Ach, — gdybym tak mógł się z nim zamienić!“

Lola dowiedziała się, że jej straszna, potworna komedja groziła ruiną. Na nic się zdało usunięcie Zygmunta i Elzy Rodeń! Zimne dreszcze wstrząsały jej ciałem na myśl, gdyby zniecierpliwiony Kazimierz odważył się na rozpaczliwy krok samobójstwa.

Namyślała się, czyby nie było lepiej otworzyć mu oczy i wyznać całą prawdę!

„Lecz nie, — nie!“ szeptał zbrodniczy głos sumienia! Nie powinien odzyskać wzroku, bo inaczej przekonałby się o całem oszustwie, a Lola przemieniłaby się z uroczej Anielci na zwykłą — ulicznicę!“

„Kazimierzu!“ zawołała drżącym głosem, „drogi, kochany mężu, daj mi twoje słowo, że spełnisz moją prośbę!“

„Czego żądasz, drogie dziecko?“ zapytał łagodnie Kazimierz.

„Przyrzeknij mi, Kazimierzu, że nigdy nie podniesiesz ręki na siebie i nie popełnisz nierozważnego kroku.“

„Nie rozumię cię!“

„Ach, nie rozumiesz, albo też nie chcesz zrozumieć!. Niedawno temu znalazłam rewolwer w twojej szufladzie.“

„Naprawdę?“ odezwał się z trudem młody hrabia.

„Tak jest; rewolwer był nabity!“

„Nabity? Tak, włożyłem patrony, przekonawszy się, że lekarstwo profesora Grafe nie odniosło pożądanego skutku.“

„Widzisz, — myślisz o śmierci!“ zawołała rozpaczliwie Lola, — „lecz nie opuszczę cię, dopóki mi nie przyrzekniesz, że sobie nie odbierzesz rewolwerem życia. — Kazimierzu, jeżeli mnie kochasz i pragniesz uspokoić moje biedne serce, to spełnisz moją prośbę. Najdroższy przyjacielu, błagam cię, byś nie skierował do piersi zabójczej broni!“

„Dobrze,“ odparł Kazimierz po dłuższym namyśle, „przysięgam ci, że nie zrobię z rewolweru żadnego użytku.“

„Dziękuję ci, mój drogi Kazimierzu!“ zawołała Lola. „Weź mnie ze sobą, jeżeli będziesz umierał. Jestem gotowa każdej chwili towarzyszyć ci do tej nieznanej krainy, pogrążonej w wiecznej polarnej nocy!“

CLXI.

W blasku piorunów

„Drogi mężu,“ zawołała Lola, kładąc na czole Kazimierza namiętny pocałunek, „nie myśl o tem! Kawa gotowa! Siądziemy przy stoliku i będziemy rozmawiać o wesołych rzeczach. Kazimierzu, masz jakie życzenie? — Wyjaw je, a Anielcia spełni natychmiast twoją wolę.“

„Anielciu, nie spełnisz moich życzeń,“ odparł biedny hrabia. „Dajesz mi szczęście i więcej nie możesz nic zrobić!“

Lola zaprowadziła ociemniałego do stołu. Zaledwie usiedli przy stole, gdy wtem na widnokręgu zjawiły się czarne chmury, zwiastuny bliskiej burzy.

Oślepiające błyskawice przecinały ołowiane niebo. Grzmoty odbijały się głuchem echem po skałach i ginęły hen daleko na wschodzie.

Fale Warty zaczęły się burzyć. W jednej chwili znikła zielona tafla, a fale przybrały szarą barwę i były podobne do spienionego morza.

Małe parowce szukały schronienia przy brzegu. Tylko duże statki miały odwagę na podjęcie walki z rzeką.

(Ciąg dalszy w nast. numerze)

Najciekawsze audycje Polskiego Radja w Warszawie

Niedziela, dnia 19 lipca 1936 r.

8.00 Audycja poranna 9.00 Transmsja nabożeństwa z Łodzi 12.03 „Z różnych czasów — z różnych stron" — Koncert południowy 14.30 „Audycja dla wsi" 15.30 Koncert rozrywkowy 15.55 Transmisja z Bayreuth 21.20 „Na wesołej lwowskiej fali" 22.10 Muzyka taneczna

Poniedziałek, dnia 20 lipca 1936 r.

6.30 Audycja poranna 12.03 Muzyka baletowa 16.00 Koncert popularny 16.45 „Młodzież na obozie" — pogadanka 17.00 Koncert solistów 17.50 Polowanie latem na ptactwo" — pogadanka 19.00 Audycja żołnierska 19.30 Koncert rozrywkowy 20.30 „W stolicy Rumunji" — feljeton 21.00 Tańce polskie na fortepian 21.30 Ludowa muzyka szkocka — transmisja z Anglji 22.25 Muzyka taneczna.

Wtorek, dnia 21 lipca 1936 r.

6.30 Audycja poranna 12.03 Koncert popularny 16.45 „Hetman Chotkiewicz" — odczyt 17.00 Koncert z Parku Wilsona w Poznaniu 17.50 „Cisy" — pogadanka 18.05 „Spacer przyrodnika po Warszawie — pogadanka 1.25 Recital śpiewaczy Antoniego Kohmana 19.25 Koncert rozrywkowy w wykonaniu Orkiestry Kameralnej i solistów 20.30 „Dokoła niedyskrecyj autorskich" — szkic literacki 21.00 „Na chłopskiem weselu" — suita popularna Feliksa Rybickiego 21.30 Ludwik van Beethoven — koncert skrzypcowy D-Dur Józefa Szigeti'ego 22.20 Muzyka taneczna

Środa, dnia 22 lipca 1936 r.

6.30 Audycja poranna 12.03 Muzyka lekka z Basenu w Ciechocinku 15.45 Teatr Wyobraźni „O tem jak krawiec Niteczka został królem" słuchowisko dla dzieci młodszych 16.15 Utwory fortepianowe Sergjusza Rachmaninowa 17.00 Muzyka salonowa 17.30 „Pieśni wschodnie" w wykonaniu Olgi Łady 17.50 Anegdoty z życia Alojzego Żółkiewskiego 19.00 Koncert muzyki ludowej 20.00 Muzyka salonowa 20.30 „Wędrówka mikrofonu po prowincji" 21.00 III Audycja z cyklu „Utwory Fryderyka Chopina" 21.30 Recytal śpiewaczy Mieczysława Saleckiego 22.15 „Miniatury kwartetowe": „Motywy taneczne" 22.45 Muzyka taneczna

Czwartek, dnia 23 czerwca 1936 r.

6.30 Audycja poranna 12.03 Koncert w wykonaniu Zespołu Salonowego Niny Mańskiej 16.00 Koncert popularny z Ciechocinka 16.45 „Ustrój państw nowoczesnych a zagadnienie obrony narodowej „Rosja Sowiecka" — odczyt 17.00 Koncert rozrywkowy 19.00 „Zaloty wiejskie" — premjera słuchowiska B. Shawa 19.40 Recital fortepianowy Marji Dońskiej 20.10 „Wizja Babuni" — stare melodje 21.00 „Nasze pieśni" 21.30 Antoni Arensky: Kwintet fortepianowy D.-Dur op. 51 22.15 Muzyka taneczna.

Piątek, dnia 24 lipca 1936 r.

6.30 Audycja poranna 12.03 Dwaj skrzypkowie: Mischa Elman i Yehudi Menuhin 16.00 Kreisler — Burmester — transkrypcje i orginalne kompozycje 16.45 Oddziały lotne P. O. W. — bataljon warszawski" — odczyt 17.00 Polskie miniatury instrumentalne 19.00 Wielki koncert muzyki polskiej z dziedzińca na Wawelu w Krakowie 21.05 Muzyka nastrojowa 22.25 „Naprzełaj przez apollińskie gaje" — djalog 23.00 Muzyka taneczna

Sobota, dnia 25 lipca 1936 r.

6.30 Audycja poranna 12.03 Konc. połud. 14.30 Koncert muzyki lekkiej 15.45 „Hipek chce mieć order" — wesoła audycja dla dzieci 16.00 Koncert solistów 16.45 „Morze jako źródło życia" — pogadanka 17.00 Koncert z Ogrodu Zoologicznego w Poznaniu 17.50 „Puszcza górska Czywczyna" — pogadanka 19.00 „Wieczór starych walców" 20.15 Audycja dla Polaków zagranicą 21.00 Recital skrzypcowy Bronisława Gimpla 21.30 „Niezawodny system" — skecz Mikołaja Laszlo i „Niepewność" — monolog 22.15 „Szlem w piosenkach" — lekka audycja muzyczna 23.00 Muzyka taneczna

ODPOWIEDZI REDAKCJI

P. F. B. Radlin. Treść pocztówki Pana przyjęliśmy do wiadomości. Spodziewamy się, że przy sprzyjających warunkach. stanie się Pan znowu abonentem naszego pisma? Łączymy najserdeczniejsze pozdrowienia.

P. Marja B. Lemeszewice. Numery okazowe — wysłaliśmy. Prosimy uprzejmie o nadesłanie nam kilku próbnych prac literackich, celem dokonania oceny. Ślemy Pani wiele miłych pozdrowień.

P. Edmund G. z Miłosławia. Arytmograf dobry — zamieścimy. Prosimy o dalszą współpracę.

H-U-M-O-R

Spostrzeżenie

— E, nasi sąsiedzi nie są wcale tacy zamożni. Sam wczoraj widziałem, jak matka i córka siedziały razem i grały na jednym fortepianie.

Dzisiejszy żebrak

— Na ulicy jałmużny nie daję, bo jestem członkiem Towarzystwa Dobroczynności.

— O, tak to każdy może powiedzieć, niech no pan pokaże legitymację — odpowiada żebrak.

W szkole

— Nie mogę przeczytać, co tu mi pan profesor napisał pod wypracowaniem.

— Pokaż. Zaraz... zarraz... co to takiego? Aha! Napisałem, abyś wyraźnie pisał!

Samosąd!

— Dlaczego rzuciłeś kamieniem w tego chłopca?

— Bo on zaczął ze mną, mamo.

— To czemu do mnie nie przyszedłeś?

— Przecież mama lepiej ode mnie nie rzuca!

Podsłuchane na dworcu

— Proszę o bilet do Chilanówka.

— Która klasa?

— Wstępna! — odpowiada malec.

Zwierzenie

Mały synek urzędnika państwowego:

— Wiesz co, wujciu, do nas przychodzi teraz często jakiś urzędnik pocztowy i na wszystkich meblach nalepia marki listowe.

Pechowiec

— Czy to prawda, żeś pan taki pechowiec?

— Prawda, panie, prawda! Mnie, jak nawet spadnie kamień z serca, to zleci wprost na odcisk.

Pożyteczny pies

— Dlaczego pan zawsze na pocztę z psem chodzi?

— Bo mi znaczki zwilża.

Mały błąd geograficzny

— Czy są jakie listy do mnie? pyta w hotelu gość.

— Niestety panie profesorze, nic niema.

— To dziwne, przecież zaraz, po przyjeździe wysłałem do domu adres: „Warszawa, „Hotel Lwowski".

— Przepraszam pana profesora, Lwów, „Hotel Warszawski".

Propozycja

— Niech pan kupi odemnie los. Może pan przecież wygrać sto tysięcy złotych gotówką — mówi agent loteryjny.

— Ja nie potrzebuję żadnego losu, ja nie chcę nic wygrać.

— Proszę bardzo, ja mam również losy, które nie wygrywają.

Fikcyjna choroba

— Więc proszę pana, choroba małżonki pańskiej to istna fikcja. Zapiszę jej też fikcyjne lekarstwo.

— Dobrze, panie doktorze, dla kompletu może pan też napisze mi fikcyjny rachunek.

Górnolotność

— Ubóstwiam panią za jej zęby, jak perły usta, jak rubiny, oczy, jak szmaragdy, włosy jak lśniące złoto!

— Czy pan jest poetą?

— Nie, jubilerem.

Owszem

— Panie profesorze, czy z moim głosem mogę się dostać do opery?

— Owszem, jeżeli pan kupi sobie bilet.

Okoliczność łagodząca

— Własność prywatna! Kąpać się tu nie wolno!

— Ależ ja się nie kąpię, proszę pana. Ja sobie odbieram życie.

— A to co innego. Proszę tam dalej! Tam jest głębiej.

Ogłoszenie

„Młody lotnik, posiadający termos, rękawiczki wełniane i sześć tabliczek czekolady poszukuje kapitalisty, któryby finansował jego lot przez ocean".

Przyzwyczajenie

— Dlaczego wasza nowa służąca trzaska tak drzwiami za każdym razem?

— Już jest tak przyzwyczajona z domu. Jej ojciec jest konduktorem kolejowym.

Nadmiar ostrożności

Szef: To nieprzyjemna historja, że pan zgubił kluczyk od kasy pancernej z aktami... ale pan ma przecież kluczyk rezerwowy. Prosiłem pana, aby go pan dobrze schował. Gdzie go pan ma?

— Zamknąłem go w szafie pancernej panie szefie.

W szkole

— Co zrobił Hannibal po bitwie pod Kannami?

— Ścigał pobitych Rzymian...

— Źle!

— Umocnił zajęte stanowiska...

— Źle! A co ty powiesz, Jasiu?

— Nie wiem....

— Bardzo dobrze! Nie wiemy co zrobił Hannibal po bitwie pod Kannami.

Z krytyki teatralnej

Podczas sceny śmierci bohatera nagle zagasło światło na scenie z powodu przerwania prądu. Po kilkuminutowej przerwie uszkodzenie naprawiono i scena śmierci szła dalej...

Dobry wskaźnik

— Mogę śmiało obliczyć, że masz 46 lat!

— A to jakim sposobem?

— Bo mam znajomego, który jest półidjotą, a ma dopiero 23 lat.

Niespodzianka

— Moja żona jest nieobliczalna. Ustawicznie jestem narażony na niespodzianki z jej strony. Dzisiaj naprzykład dzwoni do mnie do biura, że przyjdzie o 11, no i rzeczywiście przyszła.

Jest innego zdania

— Sprawność poczty w naszem mieście nie jest znowu tak świetna jak ogólnie opowiadają, krytykuje pan Bencwalski. Niedawno wysłałem list, z adresem: „Do największego miejscowego głupca!" i wczoraj otrzymałem list spowrotem!

Uczucie

— No, widzę, że teraz jestem już zupełnie obojętna — mówi żona do męża — nie cieszysz się nawet kiedy mnie ząb boli.

Tragedja

— Panie, sędzio, a co pan zakopuje u siebie w ogrodzie?

— Mojego kanarka.

— A ja myślałem, że to mój kot, który mi zginął.

— No tak, istotnie, bo mój kanarek już jest tam w tym kocie.

Przykład

— A więc już na teraz możesz powiedzieć Jasiu, czego nas uczy przykład pszczoły?

— Przykład pszczoły — panie profesorze — uczy nas, że powinniśmy być pilni i że powinniśmy miód sobie sami robić.

Jak to rozumieć?

— Pan ma zawsze jakąś powieść przy talerzu? Czy pan tak chętnie czyta podczas jedzenia?

— Oh, tak! Jak mam piękną książkę, to mogę jeść całemi godzinami.



„Jak to na wakacjach ładnie"...

PREDPŁATA już z odnoszeniem przez pocztę mies. 1,00 zł, kwart. 3,00 zł. Pod opaską mies. zł 1,50, kwart. zł 4,50. Zagranicą zł 1,50 mies. W razie wypadków, spowodowanych siłą wyższą, przeszkód w zakładzie, strajku itp., wydawnictwo nie odpowiada za dostarczanie pisma, a prenumeratorzy nie mają prawa do odszkodowania

REDAKCJA i ADMINISTRACJA Żnin (Wlkp.), ulica Śniadeckich 8 P. K. O. Nr. 207.393. — Telefon 32

Rękopisów nie zwraca się. Wystarczy adresować: „MOJE POWIEŚCI" — ŻNIN

CENY OGŁOSZEŃ: 1/1 strona 450,— zł, 1/2 strony 225,— zł i t. d. Wiersz milimetrowy szerokości 31 mm 25 groszy. Drobne ogłoszenia: za każdy wyraz 10 groszy, dla poszukujących pracy 50 proc. zniżki. Za zastrzeżenie miejsca dolicza się 50 proc. Ogłoszenia przyjmuje się 10 dni przed datą numeru

Redaktor naczelny i wydawca: Alfred Ksycki. — Red. odpow.: Marja Zemmlerówna — Zakłady Wydawnicze Alfred Ksycki w Żninie